Rok I. Kraków, czerwiec 1910. Nr. 6





# BIULETYN

## POLSKIEGO TOWARZYSTWA EMIGRACYJNEGO

**Miesięcznik poświęcony sprawom wychodźtwa, wydawany w Krakowie 30-go każdego miesiąca pod redakcyą Józefa Okołowicza.**

Adres redakcyi i administracyi: Kraków, ul. Kolejowa 3.


# Po dniach waszyngtońskich.

Od pamiętnych dni waszyngtońskich upłynęło już kilka tygodni. Jestto okres czasu wystarczający, aby ochłonąć ze wzruszeń i iluzyj, jakim podlegać musieli świadkowie tych podniosłych chwil i by módz obecnie zastanowić się na zimno, czy rzeczywiście akt odsłonięcia pomników bohaterów polskich w stolicy Stanów Zjednoczonych miał to polityczne znaczenie, jakie mu niektórzy w najgłębszem przekonaniu przypisywać chcieli.

»Nie mamy szczerych przyjaciół między narodami Europy« — mówił pewien delegat »starokrajski« na jednem z zebrań towarzyskich, jakie nastąpiły po odsłonięciu pomników, — »stwierdzam to z naciskiem, gdyż wszelkie złudzenia w tym kierunku uważam za szkodliwe. Z tem większą radością przekonałem się tutaj, że wychodźtwo polskie w Ameryce potrafiło zdobyć sympatye dla naszego narodu u rządu i społeczeństwa największej na świecie republiki amerykańskiej, zbytecznem zaś byłoby nadmieniać, jak doniosłe znaczenie dla sprawy polskiej może mieć w odpowiedniej chwili poparcie jednego z najpotężniejszych na kuli ziemskiej mocarstw. Dowodem tych przez

wychodźtwo nasze nawiązanych węzłów sympatyi był historyczny moment, w którym prezydent Taft osobiście w swym urzędowym charakterze asystował przy oddawaniu hołdu pamięci polskich bohaterów«.

Według mego zdania szanowny ów mówca — a sąd jego bynajmniej nie był odosobniony — ostrzegając innych przed jednem złudzeniem, jednocześnie sam oddawał się drugiemu, zdradzając wyraźną gotowość importowania go do metropolii. I nic w tem dziwnego, bo wszak dla Polaków obecnych w Waszyngtonie, dzień 11-go maja tak był obfitym w silne, na wyobraźnię i uczucia działające wrażenia, iż nie pozwalały one na chłodne rozumowanie i objektywną obserwacyę, z drugiej zaś strony leży to już w naszej polskiej naturze, iż pomimo smutnych doświadczeń trudno nam się pogodzić ze »splendid isolation«, w jakiej znajduje się nasz naród, ów »Knight of nations«, zmuszony w swych politycznych rachubach na przyszłość liczyć wyłącznie na własne tylko siły.

Podzielając zdanie autora powyżej cytowanych słów, iż wszelkie złudzenia, choćby najprzyjemniejsze, rozwiewać należy jako szkodliwe, nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia na ten temat kilku uwag.

Przedewszystkiem więc błędnem jest przekonanie, jakoby wychodźtwo polskie w Ameryce zdołało u społeczeństwa amerykańskiego zjednać żywsze sympatye dla polskiego narodu i polskiej sprawy. Jeśli sympatye takie (zresztą przeważnie bardzo platoniczne) zauważyć można wśród poszczególnych jednostek, to do powstania ich przyczyniło się nie tyle nasze wychodźtwo, co przedewszystkiem Trylogia Sienkiewicza, a następnie w pewnym stopniu występy Modrzejewskiej, koncerty Paderewskiego i — at least not at last — tryumfy Zbyszka Cyganiewicza.

Sienkiewicz nie tylko obudził wśród Ameryka-

nów wysoki respekt dla polskiej literatury, lecz nadto w sposób mistrzowski i jedynie dla szerszych ich sfer dostępny, odsłonił przed nimi kilka kart z naszej historyi. Sienkiewicz przypomniał Yankesom, że tworzyliśmy kiedyś potężne państwo, że byli wśród nas ludzie, umiejący kochać naród ponad wszystko i walczyć zań do upadłego; Sienkiewicz, tworząc postacie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, Kmiecica — wpoił w Amerykanów, wprost olśnionych widokiem typów tak dla nich nowych i tak od nich samych różnych, mniemanie, że jesteśmy »nation of knights« — narodem rycerzy, mniemanie, które znajdowało potwierdzenie we własnej ich historyi przez postacie Kościuszki i Pułaskiego.

Nie popełnię chyba przesady, twierdząc, iż trzy czwarte tych amerykańskich sympatyi dla Polski, o jakich wogóle może być mowa, przypisać należy wyłącznie Sienkiewiczowi i jego Trylogii. Modrzejewska i Paderewski pouczyli Amerykę, że społeczeństwo nasze i na innych polach daje ludzkości wielkich artystów, posiada wybitne talenty, Cyganiewicz zaś, — ów w obecnej chwili najpopularniejszy za Oceanem Polak, — przypomina rozmiłowanym ponad wszystko w sportach i atletyce Yankesom, że chociaż czasy Longinusa Podbipięty bezpowrotnie minęły, nie jesteśmy i teraz narodem cherlaków.

Zrodzone atoli dzięki tym wpływom uczucia żywszej sympatyi dla Polski, trzeba, by nie popaść w przesadę — ograniczyć na jednostki – przeważnie bodaj na młodych studentów, stare panny i ludzi zajmujących się literaturą lub sztuką; dopatrywanie się ich istnienia u szerokich mas, u całego społeczeństwa amerykańskiego, a zwłaszcza u sfer rządowych — byłoby złudą, wytworem własnej wyobraźni. Oczywiście nie można twierdzić, by pogardzano tam nami, jako narodem, lub nienawidzono nas. Tak nie jest

i niema też do tego najmniejszych powodów; jesteśmy tylko im zupełnie obojętni a los nasz ani ich ziębi, ani grzeje.

Jeśli to prawda, że wychodźców naszych milej widzą w Ameryce, niż innych przybyszów europejskich — na co zresztą wcale niema dowodów — zawdzięczaćby to należało okoliczności, że dostarczamy tanich, wytrwałych i silnych robotników podejmujących się robót najcięższych i najprzykrzejszych, z drugiej zaś strony, że będąc pozbawieni własnego państwa, nie możemy zdradzać skłonności separatystycznych, niebezpiecznych dla państwowości amerykańskiej. Atoli przybyszów polskich z Europy nie spotyka po przybiciu do lądu amerykańskiego przyjęcie gościnniejsze, niż emigrantów innej narodowości: szereg inkwizycyj, przez jakie przechodzić muszą nasi wychodźcy, kraty więzienne na Ellis Island, deportacye nieraz dla najbłahszych powodów, surowe, jeśli nie bezwzględne traktowanie jedynego dziś w Nowym Jorku polskiego przytułku emigracyjnego św. Józefa, mała liczba zatrudnionych w biurach emigracyjnych Polaków, — wszystko to nie dowodzi bynajmniej istnienia jakichkolwiek żywszych sympatyi dla Polaków. Przeciwnie coraz głośniej podnoszą się głosy przeciwników imigracyi przeciwko »Slave invasion« a pojawiające się od czasu do czasu w kongresie i senacie »bile« zawierające projekty praw, ograniczających imigracyę, całem swem ostrzem skierowane są głównie przeciwko wychodźtwu polskiemu.

Kiedy po uchwaleniu w Prusach ustawy o wywłaszczeniu jeden z kongresmenów zgłosił na natarczywe żądanie swych polskich wyborców projekt rezolucyi, wyrażającej ubolewanie z powodu prześladowania Polaków w Poznańskiem, rezolucya ta, pomimo poparcia jej setkami petycyj polskich towarzystw, nie

wyszła z komisyi parlamentarnej, której była przydzielona i nigdy nie została w kongresie odczytana.

W tych miejscach publicznych Nowego Yorku, gdzie spotyka się napisy z ostrzeżeniami lub pouczeniem w trzech językach, widnieje zawsze język angielski, żydowski i włoski, niekiedy — dodatkowo niemiecki, prawie nigdy zaś polski.

Zwiedzając publiczną szkołę ludową »public grammar school« w Chicago (tem, jak je niektórzy nazywają, największem po Warszawie mieście polskiem), spostrzegłem, iż każdemu uczniowi daje szkoła śpiewnik, zawierający nuty i tekst (w angielskiem tłumaczeniu) najrozmaitszych hymnów narodowych. Były tam hymny także takich narodów, które państw własnych nie posiadają, jak np. czeski i irlandzki, brakowało tylko polskiego. W tejże szkole widziałem w podręcznych bibliotekach klasowych książkę z żywotami wielkich mężów ludzkości, począwszy od czasów starożytnych a skończywszy na epoce współczesnej. Zauważyłem tam biografię Kossutha i żywot Bismarka, nie znalazłem tam tylko żadnego Polaka, nie było nawet bohatera obydwóch półkuli — Kościuszki.

Ograniczę się na tych kilku przykładach, — kto zna stosunki amerykańskie — dopowie sobie długi ich szereg. Mówią one wszystkie dobitnie, że sympatya Amerykanów dla narodowości polskiej manifestuje się dość słabo.

Polskość jest dla Amerykanów wogóle czemś, co stoi zupełnie poza nawiasem ich rachub politycznych, czemś, co nadaje się najwyżej – wraz z Kościuszką i Pułaskim — do muzeum wspomnień historycznych. Pozbawiony własnej organizacyi państwowej naród polski w Europie dla polityków amerykańskich nie istnieje, wychodźcy zaś polscy w Ameryce, według stosunku do nich Amerykanów dzielą się na dwie kategorye:

Pierwsza – to »immigrants«, ludzie, których na-

rodowość nie brana jest w rachubę, a których świeży przypływ toleruje się z pewnemi zastrzeżeniami jak długo większość uznaje go za korzystny dla gospodarczych interesów Ameryki. W tej kategoryi wychodźców jedni z nich upatrują niepożądanych dla siebie konkurentów, inni podatny łup dla swych spekulacyj, jeszcze inni obojętnych im »greenhorn'ów,« wszyscy zaś nowe żywe maszyny dla amerykańskich fabryk, nowy podściołek dla amerykańskiej kultury, nowy materyał na przyszłych Amerykanów.

Drugą kategoryę — stanowią Polacy, którzy osiedli już w Ameryce, przyswoili sobie angielski język, dali się pociągnąć pokostem amerykańskich obyczajów i przyjęli miejscowe obywatelstwo. Z punktu widzenia amerykańskiego są to już »Americans of the polish birth or origin« (Amerykanie polskiego urodzenia lub pochodzenia) i nic ponadto. Istnienia Amerykanów polskiej narodowości, lub jaśniej powiedziawszy, polskich obywateli Stanów Zjednoczonych, społeczeństwo amerykańskie nie uznaje, ponieważ nie doszło jeszcze do tego stopnia rozwoju, by umiało odróżniać na własnym gruncie przynależność państwową od narodowości, by mogło zrozumieć, że lojalne przybranie Ameryki za nową ojczyznę nie musi koniecznie pociągać za sobą zamerykanizowania się pod względem językowym i obyczajowym.

»Amerykanom polskiego pochodzenia« pozwala się szanować ich tradycye narodowe, — bo nikomu to w Ameryce nie zawadza, -- pozwala się (czemu zresztą przeszkodzić nie można) prywatnie uczyć dziatwę także polskiego języka (w przekonaniu, iż władać nim będą już słabiej niż językiem angielskim), natomiast wymaga się, by Stany Zjednoczone były dla nich jedyną ojczyzną, której interesów wyłącznie przestrzegać mają, Polska zaś — li tylko krajem przod-

ków, cmentarzem ojców, krajem mglistych wspomnień z minionej nazawsze przeszłości.

Że Amerykanie żywią tego rodzaju życzenia — ani się dziwić, ani też brać im za złe nie można.

Z tą kategoryą polskich wychodźców liczą się Amerykanie, bo dla polityków reprezentuje już ona setki tysięcy głosów wyborczych, dla »businessmenów« zaś — poważne koła »costumer'ów« (klientów); widzą też w nich już swoich ziomków, także Amerykanów, aczkolwiek innego pochodzenia.

W chwili, gdy spadały zasłony z pomników Pułaskiego i Kościuszki, dusze nasze przepełniały uczucia radości i dumy. W tych śpiżowych posągach widzieliśmy naszych narodowych bohaterów, w hołdzie, oddawanym ich pamięci przez Amerykanów, — zamanifestowanie sympatyi dla narodu, który mężów tych wydał, współczucia dla sprawy, której w kraju swym służyli.

I zasłuchani w bicie serc własnych, przeoczyliśmy, iż dla Amerykanów cała ta uroczystość była tylko odsłonięciem pomników dwóch zasłużonych amerykańskich generałów, świętem czysto domowem, do udziału w którym Polacy dopuszczeni zostali tylko w charakterze niemych, nieproszonych widzów.

*Józ. Okołowicz.*

---

# Pierwsze słowo z Ameryki o Polakach czwartej polskiej dzielnicy.

Wracam z Ameryki.

Co mię najbardziej do podjęcia długiej i mozolnej podróży zachęcało, to nie była prosta ciekawość poznania obcych krajów zamorskich i szukania wra-

żeń podróży: ale potrzeba serca przyjścia w miarę sił z pomocą naszym rodakom, którzy mają wiele spraw i interesów wymagających dokładnego zbadania warunków miejscowych, rozeznania trudnych zresztą urządzeń prawnych.

Potrzeba było rozejrzeć się na miejscu wśród naszych wychodźców w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, poznać ich warunki pracy i rozwoju, aby można w kraju przyjść im ze skuteczną radą w załatwieniu ich interesów.

Powoli zdobywa sobie polskie wychodźtwo w Ameryce północnej te urządzenia własne, które pozwolą mu żyć i rozwijać się bez zatraty narodowości polskiej. Ma już swe kościoły bogato uposażone za wdowi grosz polskiego robotnika, ma już swe szkoły polskie, w wielkich miastach w dobre siły nauczycielskie zaopatrzone, na prowincyi biedne i bardzo niedostateczne, ma swe stowarzyszenia, swe związki, towarzystwa oświatowe, tu i owdzie już powstają szpitale polskie, biblioteki, domy ludowe, teatry, sale do wykładów i zabawy, ma polskie dzienniki i słowem powstawać poczyna polskie życie zbiorowe na dalekiej obczyźnie.

Ale czego mu jeszcze dziś brakuje to należytej spoistej organizacyi jednolitej, brakuje organizacyi szkolnictwa polskiego średniego, brakuje organizacyi porady prawnej i pośrednictwa w sprawach prawnych, majątkowych, spadkowych między starym krajem a nowem miejscem pobytu, brakuje świadomej celu organizacyi w kraju i na obczyźnie, brakuje węzła łączącego między podażą polskich rąk do pracy a zapotrzebowaniem ich i popytem na nie w centrach fabrycznych i na fermach rolniczych w Ameryce, brakuje skupiającej instytucyi dla tych wychodźców, którzy na stałe radziby się osiedlić i nie wiedzą, gdzie wybrać miejsce osiedlenia, ani w jakich warunkach

przyjdzie im prowadzić gospodarkę rolną; brakuje wszelkiego uregulowanego pośrednictwa pracy i kupna gruntów; a już najzupełniejszy brak takiej instytucyi finansowej, którahy skupiała w sobie wszystkie polskie towarzystwa, wiązała w jedno rozstrzelone siły i była widomym łącznikiem w przesyłaniu oszczędności zarobionych do starego kraju.

Te braki są widoczne dla każdego, kto na ziemi amerykańskiej zetknął się z praktycznemi potrzebami wychodźtwa polskiego. Z tego korzystają spekulanci.

A że spekulanci jakiejkolwiek byliby narodowości nigdy na oku nie mają dobra kraju, całości polskiego wychodźtwa, oraz dobra nieświadomego ludu, tylko swój własny interes, swój »business« jak go tam nazywają — więc muszą powstawać i mnożyć się liczne objawy wyzysku, korzystania z nieznajomości języka, praw i obyczajów tak częstej, jeżeli nie powszechnej, cechy naszego wychodźtwa.

Niejeden drogo okupił swą nieznajomość stosunków, niejedną zapłacił frycówkę a dobrze jeszcze, jeżeli nie wpadł w ręce niesumiennego oszusta, bo i ci są obok bezwzględnych wyzyskiwaczy częstem w Ameryce zjawiskiem.

Oszukują wychodźcę przy załatwianiu spraw prawnych, sprzedażach gruntów w starym kraju, przy kupnie w nowym, oszukują przy wypłacie wynagrodzeń z powodu nieszczęśliwych wypadków, w fabrykach i w kopalniach, oszukują przy podejmowaniu spadków, a najczęściej wyzyskują przy wysyłce pieniędzy do kraju.

Nie można temu zaradzić odrazu.

Niema takiego cudownego środka, któryby niechybnie przyniósł poprawę i zło, które od lat się rozwijało, za jednym zamachem wyrwał z korzeniem.

Ale są sposoby i środki, które należycie zasto-

sowane mogą w krótkim czasie przynieść zmianę na lepsze.

Przedewszystkiem trzeba poprawić oświatę.

Wiem, że parafialne szkoły w Chicago, Milwaukee, Detroit, Cleveland, Pittsburgu, Buffalo i wielu innych wielkich miastach, gdzie są liczne i bogate polskie parafie, prowadzone są przez księży polskich fachowo i umiejętnie.

Ale wiem także, że są parafialne szkoły polskie w których cała nauka ogranicza się do czytania, pisania, nauki katechizmu i pieśni nabożnych. A to już będzie za mało na potrzeby życia praktycznego młodego pokolenia w przyszłych latach w Ameryce. Prześcigną go towarzysze kształcący się w lepszych szkołach, z których więcej i prawdziwej wiedzy wyniosą.

A przecież nie chcemy dzieci polskich pchnąć do amerykańskich szkół t. zw. »grammar schools«, które są prowadzone znakomicie, dają i wiedzę i wychowanie, ale grożą odebraniem języka polskiego i dobrowolnem zcudzoziemczeniem polskich dzieci.

Na to jest rada jedna i jedyna.

Szkoły polskie parafialne muszą dorównać najlepszym szkołom amerykańskim, muszą mieć najlepszych nauczycieli i najlepsze środki naukowe.

Wtedy trzeba już będzie pomyśleć o jednolitym planie nauki początkowej i średniej o jednolicie napisanych i do potrzeb młodzieży polskiej w Ameryce wychowującej się zastosowanych podręcznikach naukowych polskich.

Nie zadowoliłbym się wcale dorównaniem szkołom amerykańskim. Duma narodowa nakazywałaby nam wytworzyć na podstawie starych polskich wzorów w Europie i nowych doświadczeń w Ameryce typ najlepszej szkoły polskiej, lepszej od amerykańskiej. Należy domagać się od zamożnego polskiego wychodźtwa w Ameryce, aby sprawę oświaty wzięło

w staranną opiekę, nie szczędziło środków i razem z kościołem polskim stworzyło lepszą niż dziś jest szkołę polską w Ameryce

Nie przyjdzie to łatwo.

Będą musiały być usunięte przesądy, złamane trudności i wykupione serwituty, do których sobie dziś rozmaici dobrodzieje i jegomoście roszczą pretensye z tytułu zasiedzenia.

Szkoła narodowa musi podlegać opiece narodu, całego narodu. Nie może być już dłużej przedmiotem eksperymentów klasy jednej, części społeczeństwa, chociażby najszanowniejszych dotychczasowych kierowników.

Musimy domagać się powołania do życia instytucyi jednej, czuwającej nad oświatą — polskiej komisyi edukacyjnej, oraz dla każdej parafii -- rady szkolnej miejscowej, złożonej z kuratorów szkoły wolnym wyborem wybranych przez rodziców polskich. Społeczeństwo polskie w Ameryce ma prawo żądać, aby sprawa oświaty narodowej na wolnej ziemi amerykańskiej prowadzoną była z najsumienniejszą starannością i ożywioną została duchem obywatelstwa.

Jestem głęboko przekonany, że na dobrą polską szkołę znajdą się dobre polskie pieniądze. Jeszcze nie mamy naszych multimilionerów, ale już mamy ludzi zamożnych Polaków w Ameryce, którzy dla polskiej oświaty, dla szkoły polskiej gotowi są złożyć ofiary. może stanie w najbliższych latach obok tych 500 szkół parafialnych drugie tyle szkół polskich narodowych. *Witold Lewicki.*

---

# Na Pearl Street.

W Nowym Jorku, w pobliżu Battery Place, placu nad morzem, gdzie lądują emigranci, skoro przeszli

już przez ogień inkwizycyi na Ellis Island, przy wązkiej uliczce Pearl Street otoczonej niebotycznymi »drapaczami nieba«, znajduje się skromny lokal urzędowego biura informacyjnego dla imigrantów »Information Office for immigrants« pozostającego pod kierownictwem departamentu pracy i handlu: »Department of Labor and Commerce«. Z urzędem tym połączone jest biuro pośrednictwa pracy dla robotników, zwłaszcza takich, którzy zgadzają się pracować przy robotach ziemnych, w cegielniach lub na roli, robotnikom bowiem przemysłowym biuro to pracy nie stręczy.

Biuro nowo-yorskie jest obecnie najważniejszym w Stanach Zjednoczonych urzędem pośrednictwa pracy, nie tylko dlatego, iż założone zostało przez rząd Unii (w Chicago np. istnieje podobne biuro utrzymywane przez Stan Illinois), lecz wobec faktu, że miasto Nowy Jork jest portem, przez który przewija się olbrzymia ilość przybyszów z Europy oraz miastem, wykazującem stale największą liczbę poszukujących pracy.

Według ostatniego urzędowego sprawozdania, wydanego jeszcze w roku 1908, biuro to w okresie rocznym od 30. VI. 1907 po 30. VI. 1908 zapośredniczyło pracę 2099 robotnikom; w liczbie tej było 429 Polaków. Najwięcej kandydatów zostało umieszczonych jako robotnicy rolni na farmach (1250) lub jako wyrobnicy dzienni (421). W stanie Nowy Jork znalazło pracę zaledwie 840 robotników, reszta zaś w rozmaitych innych stanach Unii.

Jak świadczą powyższe cyfry działalność Urzędu pośrednictwa pracy w Nowym Jorku obraca się w granicach znacznie skromniejszych, niżby się tego można było spodziewać. Że jednak tak jest, przyczyniła się obawa jego twórców przed wpływową »Labor party« i innymi przeciwnikami imigracyi, którzy więcej niż

niechętnie witali pojawienie się urzędowej instytucyi pośrednictwa pracy, upatrując w niej znaczne ułatwienie dla europejskich przybyszów, poszukujących zarobków, i, co za tem idzie, pośrednią zachętę do imigracyi.

Tej też okoliczności przypisać należy fakt, iż urząd ten nietylko bardzo skrzętnie unika wszelkiej reklamy, lecz nadto nie zajmuje się wcale pośredniczeniem robotników dla fabryk i kopalń, dokąd właśnie większość przybyszów europejskich w oczekiwaniu lepszych zarobków pragnie się skierować.

Urząd pracy nie pobiera żadnych opłat ani od pracodawców ani też od robotników, nie może jednak skutecznie zwalczać pośrednictwa prywatnego, połączonego prawie zawsze z wyzyskiem robotników, po nieważ poprostu ukrywa się ze swojem istnieniem i wszystkie jego ruchy cechuje nieśmiałość instytucyi, której wolno nic nie robić, ale którąby ściągnęła na siebie druzgoczącą burzę, gbyby poważyła się robić za wiele. Jest to fałszywe położenie, z którego kierownicy urzędu pracy znaleźli to wyjście, iż, przyjąwszy skromne miano biura informacyjnego, postanowili zajmować się wyłącznie przeflancowywaniem, że tak się wyrażę, obcych robotników z miast Wschodu na rolę — do stanów na zachód od Nowego Jorku położonych. Przeciwnikom więc imigracyi mogą powiedzieć to, co oświadczył mi p. Ch. Green, naczelnik urzędu: »Główne nasze zadanie polega na przeciwdziałaniu tworzeniu się bezrobocznych armij proletaryatu w ogniskach przemysłu, w wielkich miastach Wschodu, gdzie najchętniej osiadają imigranci europejscy, a gdzie szanse znalezienia pracy, zwłaszcza bez obniżenia płac robotnikom miejscowym, są coraz lichsze. Przeciwdziałać zaś temu możemy przez wskazywanie tym daremnie w obrębie murów miejskich poszukującym pracy przybyszom zarobków na roli,

gdzie na farmach daje się jeszcze w wielu stanach odczuwać brak sił roboczych i dokąd nie udają się chętnie zorganizowani robotnicy amerykańscy«.

Oczywiście takiemu programowi nie mogą nic zarzucić ani »Labor Party« ani wszyscy inni przeciwnicy imigracyi, pilnują więc tylko bacznie, by był ściśle przestrzegany. Z programem zaś tym, co panowie z Departamentu Commerce and Labor przyznają otwarcie, łączy się dążenie do łatwiejszej asymilacyi europejskich przybyszów. Uwadze polityków amerykańskich nie uszedł fakt, że europejscy proletaryusze, osiadając w miastach, nie wyrzekają się zamiaru powrotu do starego kraju z oszczędzonymi pieniędzmi, skupiają się zaś w osobnych dzielnicach, gdzie przebywa największa ilość ich rodaków i gdzie proces wynarodowienia postępuje naprzód bardzo powoli. Robotnik przerzucony na farmy, gdzie znajdzie się odrazu w środowisku zupełnie obcem i straci prawie wszelką łączność z rodakami, nie tylko prędzej nauczy się angielskiego języka, lecz nadto, nie mogąc zakładać własnych towarzystw i szkół ze swym językiem macierzystym, prędzej się zamerykanizuje sam i w żaden sposób nie ochroni przed kompletną amerykanizacyą swych dzieci, które innego języka, oprócz angielskiego, prawdopodobnie znać już nie będą.

I ta właśnie tendencya do asymilacyi obcych żywiołów daje nawet w oczach przeciwników imigracyi prawo do istnienia nowojorskiemu »Urzędowi informacyjnemu«.

Z naczelnikiem tego urzędu, p. Ch. Green'em miałem dłuższą rozmowę; dowiedziałem się przy tej sposobności niejednej rzeczy nowej i ciekawej.

Pan Green stwierdził przedewszystkiem to, co słyszałem kilkakrotnie również z ust innych, że imigranci nasi są po przybyciu do Ameryki niemiłosier-

nie wyzyskiwani przez rozmaitego rodzaju spekulantów, którzy żyją i robią majątki wyłącznie na obdzieraniu wychodźców i wyzyskiwaniu nieświadomych nowych stosunków i angielskiego życia wieśniaków. Polaków, wedle zdania p. Green'a najbardziej wyzyskują rozmaici spekulanci polscy, wskutek bowiem znajomości języka, mają do nich ułatwiony przystęp. Licznych nadużyć dopuszczają się prywatne biura pośrednictwa pracy, które pobierają od robotników wysokie opłaty stręcząc robotę tam, gdzie jej niema, lub też robotę taką której robotnik przyjąć nie chciał, lub nie może. Na uwagę moją, że szkodliwej działalności tych niepowołanych stręczycieli możnaby poniekąd przeciwdziałać przez szersze rozpowszechnienie wiadomości o istnieniu w Nowym Jorku Urzędu informacyjnego i pośrednictwa pracy, odparł p. Green, ku niemałemu memu zdziwieniu, że każdy imigrant, który przybywa do Ameryki, posiadając adres tego urzędu, naraża się, iż za sam fakt posiadania tego adresu, nie otrzyma pozwolenia na wylądowanie.

— »Nie chcemy, — mówi pan Green, by ktokolwiek wyjeżdżał do Ameryki w przekonaniu, że nasz urząd pracę mu tutaj wynajdzie, byłoby to bowiem poniekąd pogwałceniem prawa o kontraktowaniu robotników (»Labor Contract Law«). W istocie bowiem niema wielkiej różnicy, czy imigrant przybywa na przyrzeczone mu z góry zajęcie, czy też z adresem instytucyi, o której wie, iż zajęcie mu wynajdzie. O istnieniu naszego urzędu imigranci mają dowiadywać się dopiero z książeczki, którą rozdaje się im już po przybyciu na Ellis Island (ułożona została w 24 językach).«

Pan Green nie jest przychylnie usposobiony dla przytułków imigracyjnych austryackiego i polskiego św. Józefa, istniejących w Nowym Jorku, uważa bowiem, że instytucye te niezawsze są odpowiednio

administrowane a nieraz, pod pokrywką filantropii, robione są tam interesy (»business«), zwłaszcza na polu pośrednictwa pracy [1]).

Według zdania p. Green'a najskuteczniejszą pomoc rodakom świadczą redakcye gazet polsko-amerykańskich, czyniąc to zupełnie bezinteresownie i po-

[1]) Jeden z wyższych urzędników na Ellis Island oświadczył mi wyraźnie: „My przeciwni jesteśmy przytułkom narodowościowym, ponieważ one utrudniają pracę nad asymilacyą przybyszów europejskich od pierwszego dnia ich przybycia na ląd amerykański, a mianowicie klasyfikują imigrantów według ich narodowości i wprowadzają ich odrazu w środowisko rodaków. Wolelibyśmy przeto, by w Nowym Jorku nie było tego rodzaju przytułków ani polskich, ani niemieckich, ani włoskich, węgierskich lub irlandzkich. Natomiast powinien być raczej założony jeden wielki przytułek amerykański, co z czasem niewątpliwie nastąpi.“ Zdaje mi się, iż urzędnik ów wypowiedział najważniejszy zarzut, jaki ze stanowiska amerykańskiego może być podniesiony przeciwko przytułkom emigracyjnym, zakładanym przez kolonie rozmaitych narodowości w Nowym Jorku. I zdaje mi się, że właściwie w tym argumencie, wypowiedzianym szczerze, aczkolwiek nieoficyalnie, szukać należy właściwej przyczyny, czemu amerykańskie władze odnoszą się nadzwyczaj niechętnie do obconarodowych przytułków imigracyjnych i starają się egzystencyę ich utrudnić, korzystając skwapliwie z każdej sposobności, jaką nasuwają odkrywane od czasu do czasu nieporządki, błędy lub nadużycia. Być może, iż administracya tych przytułków niezawsze jest wolną od zarzutu, argumenty atoli podnoszone przeciwko nim przez władze imigracyjne są raczej tylko pretekstem, właściwa bowiem przyczyna stanowiska wobec nich tych władz tkwi, można przypuszczać, gdzieindziej. Obecnie prowadzone są właśnie dochodzenia przeciwko domowi austryackiemu i domowi św. Józefa. Pierwszemu zarzuca urząd emigracyjny, iż ma łóżka zbyt twarde, nadto zaś, że sieje niemoralność, gdyż śpiącą dziewczynę obudził rano, wzywając do wstania w przepisanej godzinie—służący mężczyzna. Dom zaś polski św. Józefa ściągnął na siebie podejrzenie, że popiera imigracyę, ułatwiając wylądowanie w Ameryce takim Polakom, którzy w przekonaniu władz nie posiadają potrzebnych do tego kwalifikacyj, i że pozostaje w porozumieniu z agencyami okrętowemi w Europie.)

rozumiewając się w sprawach pośrednictwa pracy z powołanymi do tego urzędami.

Pan Green słyszał i wie o tem, że emigranci nasi, zanim jeszcze opuszczą Europę, bywają w niemiłosierny sposób wyzyskiwani przez rozmaitego rodzaju pasożytów wychodźtwa, którzy też niejednokrotnie świadomie narażają emigrantów na znaczne straty i pewną deportacyę z Ellis Island, eksportując ich do Ameryki, aczkolwiek ci nie odpowiadają warunkom, stawianym przez amerykańskie władze emigracyjne. Niestety, władze te nie znalazły dotychczas innego sposobu zapobiegania złemu, jak karanie w wielu wypadkach samych emigrantów za nadużycia lub błędy popełniane przez agentów t. j. odmawianie tym emigrantom prawa lądowania w Ameryce. Ma to być środek, skierowany przeciwko kompaniom okrętowym, w nadziei, iż kompanie te ze swej strony we własnym interesie wpływać będą na swych agentów, wymagajac od nich dokładniejszego informowania pasażerów o obowiązujących w Ameryce przepisach imigracyjnych.

Doskonały dowód, jak popełniony przez agencyę okrętową (choćby nawet w dobrej wierze) błąd narazić może wychodźców na dotkliwe straty i zawody, stanowi następujący przykład, opowiedziany mi przez p. Green'a.

Kilku imigrantów galicyjskich oświadczyło przed paru dniami na Ellis Island, iż przybyli do Ameryki z zamiarem poszukiwania pracy w Nowym Jorku, gdzie też pragną zakończyć swą podróż. Każdy z nich wylegitymował się posiadaniem gotówki w kwocie 25 dolarów i adresu polskiego Domu św. Józefa. Po dłuższych jednak badaniach okazało się, że emigranci ci pragnęli właściwie jechać do stanu Ohio, gdzie każdy z nich posiada krewnych lub znajomych. Pieniądze jednak, jakiemi rozporządzali, nie wystarczały

na zakupno biletów kolejowych do Ohio i jednoczesne wylegitymowanie się z posiadania przepisanej gotówki. Agencya więc, sprzedając karty okrętowe tym wychodźcom, poradziła im, by po przybyciu na Ellis Island oświadczyli, że jadą tylko do Nowego Jorku i pokazali adresy Domu św. Józefa, skoro zaś wysiądą na ląd, będą mogli posiadaną gotówkę użyć na zakupno biletów kolejowych do Ohio. Urzędnicy imigracyjni wykryli jednak ten fortel i emigranci zostaną skazani na powrót do Europy. Odtąd też wszyscy przybysze, zaopatrzeni w adres Domu św. Józefa mają podlegać niezwykle surowym badaniom, jako podejrzani o podobne zakusy.

Przykład ten świadczy dosadnie, że imigranci po przybyciu na Ellis Island czyli do t. zw. przez nich »Kasselgardy« (od miejscowości »Cassel-Garden«, gdzie dawniej odbywało się egzaminowanie emigrantów), najlepiej uczynią, mówiąc prawdę, gdyż wszelkie najlepiej obmyślone fortele zwykle zawodzą i wykryte przez urzędników imigracyjnych, powodują nowe komplikacye lub podejrzenia, odnoszące skutek wręcz przeciwny zamierzonemu.

Opuszczałem biuro p. Green'a, obdarzony przezeń studolarowym banknotem — na pamiątkę naszej rozmowy. Banknot ów od dawien dawna wycofany z obiegu, sprzedany został jednemu z naszych wychodźców przez jakiegoś pomysłowego oszusta. Banknoty takie stanowić mają podobno pierwszą zdobycz materyalną wielu naszych wychodźców na ziemi amerykańskiej...

W następnym numerze opowiem o wrażeniach, odniesionych na Ellis Island i rozmowie, którą miałem tam z naczelnym komisarzem imigracyjnym, p. Williamem Williams'em.

*Józef Okołowicz.*

**Na pokładzie „Marty Washington“,
dnia 30 maja 1910.**

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

# Wychodźtwo Polskie w Rosyi i na Syberyi.

(Referat na Kongres Narodowy Polski w Waszyngtonie.)

Charakter naszych kolonii wychodźczych w Rosyi tak ściśle związany jest z historyą naszego wygnania że uważam za konieczne powtórzyć ją pokrótce.

Karol Lubicz Chojecki, konfederat barski podaje, że przechodząc w drodze na Syberyę przez miasta Kazań, Tarę, Tobolsk spotykał tam starców polskich, wygnańców wywiezionych przez Moskali jeszcze za panowania Leszczyńskiego. Jednocześnie wspomina o wygnańcach w Kałudze, Orle i innych miastach rosyjskich, gdzie Polacy trudnili się »rzemiosłami i kunsztami.« Mówi o Beniowskim, że zarabia w Kazaniu na chleb złotnictwem. W Moskwie, gdzie przed kilkudziesięciu laty na prośbie o pozwolenie na budowę katolickiego kościoła nie znalazło się ani jednego polskiego podpisu, odbywają się już kazania po niemiecku i po polsku.

Pierwsze znaczniejsze partye konfederatów barskich w ogólnej liczbie 10.000, były grupami po kilkaset głów rozrzucone po głuchych zakątkach Rosyi i Syberyi. — Zostali oni zmuszeni bagnetami i pałkami do złożenia przysięgi na wierność Katarzynie II. i włączeni do miejscowych garnizonów. Oporniejszych ssyłano dalej strasznie przedtem skatowanych i okaleczonych. Rwano im nozdrza, obcinano nosy i uszy, obrąbywano ręce i nogi. »Sibirski gubernator Szensin« — pisze Maksimow w swym znanym dziele — »spotykał ich, sądząc z podań ludowych, z uczuciem zatajonej nienawiści i niezrozumiałej mściwości. — On, powiadają, przywiązywał ich po kilku do długich grubych kłód drewnianych i kazał spychać następnie z wy-

sokiej góry tobolskiego zamku. Kłoda tocząc się po stromości miażdżyła nieszczęśliwym głowy i kości«. [1])

Rękami polskich konfederatów wybudowana została warownia w Oremburgu, której resztki stoją po dziś dzień. Polscy żołnierze i polscy inżynierowie wznieśli cały szereg twierdz i szańców na tak zwanej obronnej linii Omskij. Wcieleni do rosyjskich pułków kozackich musieli ścigać zbuntowanych kałmuków, którzy w liczbie 40.000 pod wodzą swego księcia Bamburego uciekli z pod berła rosyjskiego do Mongolii. — Wielu zginęło od febry oraz w bitwach, inni, którzy próbowali uciec, pojmani przez kirgizów zostali sprzedani do Taszkentu, czterech powieszono. Część konfederatów wcielona do korpusu orembурskiego musiała pod dowództwem Dekolona i Bibikowa tłumić w 1783 bunt Pugaczowa, obiecano im za wierność i waleczność w razie wygranej wolny powrót do kraju. — Padło ich w walce 400. Obietnicy rozumie się, że nie dotrzymano i znowu wysłano pełnić służbę garnizonową do różnych zapadłych kątów. Naówczas 600 konfederatów, stojących załogą w Tobolsku, udało się zbiorowo do gubernatora i złożywszy broń na podwórzu, domagało się uwolnienia. Gubernator kazał im przyjść nazajutrz, tymczasem ściągnął wojsko uzbroił pospólstwo, otoczył bezbronnych i uwięził. Zaczęło się bicie i katowanie nieszczęśliwych. Siedmiu rozebranych do naga ukrzyżowano na ruchomych rusztowaniach, wyliczono każdemu po 800 knutów wyrwano im nozdrza i napiętnowano rozpalonem żelazem. Innych bito »niemiłosiernie« (»nieszczadno« — wyrażenie wyroków urzędowych) piętnowano, wysyłano do najodleglejszych kątów Sybiru. — Z po-

---

[1]). S. W. Maksimow. „Sibir i katorga“ Zadanie trakije. S. Petersburg 1900 r. str. 327.

wodu tego buntu Lubicz — Chojeki, choć w nim udziału nie brał, również dostał się do Wschodniej Syberyi, gdzie konfederatów, często posiadających wyższe wykształcenie, oddawano »w raby« (jako niewolników) dzikim chłopom tamtejszym. Konfederaci jednak zmówili się, połączyli w małe grupy i sterorytzowali chłopów do tego stopnia, iż ci sami zaczęli prosić, aby od nich zabrano zuchwałych »rabow«...

Więc pozwolono polskim wygnańcom poczęści zamieszkiwać w miastach, poczęści dano im grunta dla samodzielnej uprawy. Historyk Ogłoblin, opisując »Krasnojarski Bunt« (1695--1698 r.), polegający na tem, że mieszkańcy wypędzili przysłanych z metropolii zdzierców wojewodów a obrali na ich miejsca innych, — mówi o polakach, którzy brali »czynny udział w rozruchach«.

Według świadectwa uczonego niemieckiego, Pallasa, który podróżował po Syberyi w XVIII. wieku polscy wygnańcy w XVII i XVIII stuleciach udoskonalili sybirskie narzędzia rolnicze wprowadzili w użyciesy birską »sochę« jaką i po dziś dzień tutaj orzą, a która doskonale nadaje się do orania tutejszych lekkich i płytkich gruntów rodzajnych. Oni przesunęli daleko na wschód i północ granicę rolnictwa, do miejscowości na Lenie i Jenisseju, które uważane były za niezdatne do uprawy i dokąd rząd jeszcze w ciągu XVIII stulecia dostarczał mąkę dla urzędników i garnizonów kozaczych. — Koło miasta Jenisejska dotychczas zachowała się nazwa »Brzeg Polski« a nad Leną często można trafić na miejscowość nazywaną »Polskaja Polana«, »Polskaja Pasznia«, »Polskaja Doroga«, chociaż polaków tam w czasach nowszych nie było. Są to ślady pionierów polskich sybirskiego rolnictwa. O konfederatach którzy dostali się do miast pisze Maksimow, że większa część barskich konfederatów i kościuszkowców, która zajęła się rzemiosłem osięgła w mia-

stach znacznego stopnia dobrobytu. »Byli to ludzie zamożni, nawet bogaci, zaszczycani powszechnym szacunkiem i zaufaniem, tak że wybierano ich na urzędy conajmniej wójtów. Wielu zdołało wejść w sfery arystokracyi służbowej i urzędniczej...« [1]).

Wygnańcy ci rychło wszakże wynarodowili się, pożeniwszy się z sybiraczkami i rosyjankami. Pozostały po nich jedynie pewne rysy w typie niektórych osób oraz nazwiska rodzin obecnie zupełnie zruszczonych, jak Judyccy, Tarnowscy, Domaszewscy i t. d. [2]).

Rodziny te, oddawszy pewne usługi nowej swej ojczyźnie, utraciły cały swój dorobek rasowy, umysłowy i obyczajowy, zgrubiały, zdziczały. — Bardzo niewielu z nich skorzystało z ukazu Pawła pozwalającego im wrócić do Polski. To samo miało miejsce w całej Rosyi. Znacznie więcej wróciło legionistów w 1815 roku, gdyż z 900 zaliczonych do kozaków sybirskich, zostało 160 a reszta skorzystała niezwłocznie z manifestu Aleksandra I-go. Wśród tych wygnańców spotykamy już pewne próby stworzenia po miastach skupisk i organizacyj polskich, które nietylko pozwoliły jednostkom dłużej zachować swą narodowość i przyrodzone zalety lecz jednocześnie wywierały trwalszy i głębszy wpływ oświatowy i zwyczajowy na tubylcze półdzikie otoczenie.

W Petersburgu przy Aleksandrze I. oraz w Moskwie, ówczesne stosunki polityczne stwarzają świetne kolonie polskie, składające się z magnatów, dygnitarzy, wyższych urzędników, oraz osób od nich zależnych, domowników, służby, nauczycieli, rzemieśl-

---

[1]) Maksimow ibid. str. 338.

[2]) Maksimow, ibid. str. 337. wymienia trzy pierwsze rodziny jako barskich konfederatów, pozostałe jak jeńców z wojsk Kościuszki.

ników i. t. d. W obu stolicach powstają samodzielne polskie parafie z obieralnemi, syndykami do zarządu majątkiem kościelnym. Podobnaż parafia powstaje w Charkowie dzięki skazaniom rektora uniwersytetu Charkowskiego Andrzeja Dudrewicza. — W Odessie wpływy polskie były może najstarsze i najbezpośredniejsze, można ją uważać do pewnego stopnia za zarodek kolonii polskiej, gdyż samo miasto powstało, jak twierdzi Maryan Dubiecki, na miejscu polskiej osady niejakiego Kociuby, co Turcy po zawładnięciu krajem przerobili na »Chadi-bej« -- nazwa założonej w tem miejscu twierdzy. Podczas oblężenia Konstantynopola przez Turków król Władysław Jagiełło posyłał stąd Grekom zboże na galarach, a król Władysław Warneńczyk oddał w dożywocie Buczackiemu z Podola porty: Koczubej i Białygród, Czarny Horod i Karawuł, z warunkiem, aby je odbudował i ulepszył. Za Kazimierza Jagiellończyka Koczubej iBiałygród (Akerman) leżały w granicach poniosłości Rzeczy Pospolitej. [1]) Nazwę Odessy nadała osadzie w 1794 r. Katarzyna II-ga.

Ale już przedtem, gdyż w r. 1784. działało tu towarzystwo Polskie Handlowe założone w Chersoniu z polecenia rządu polskiego; miało ono własnego komisarza p. Ziemblickiego podtrzymującego stosunki z Turkami, handlującemi zbożem w Chadżybeju (Odesie). W roku 1802. już w samej Odesie powstaje Tow. Handlowe Polskie utworzone przez Czackiego ze Stanisławem Sołtykiem, Józefem Drzewieckim, i Michałem Walickim. Przyczynia się ono nie mało do rozwoju młodziuchnego miasta.

Okręty tej spółki: »Ukraina«, »Jampol«, »Prut«, »Podole«, »Tadeusz Czacki«, woziły zboże do Tryjestu i Marsylii. W tym też roku został zbudowany muro-

[1]) Gloger Encyklopedya Staropolska.

wany kosciół katolicki, który do dziś dnia istnieje Rzecz prosta, że parafia katolicka od samego początku była przeważnie polska. W Odesie ówczesnej miało swe rezydencye dużo domów magnackich oraz zamożnego ziemiaństwa. Do dziś dnia istnieją ulice: »Zjazd Polski«, ulica »Polska«, ul. »Zofijówka« (na cześć Zofii Potockiej), ul. Elżbietówka (na cześć Elżbiety Branickiej), zaułek »Sobańskich«. ul. »Kołłontajówka« itd. Są domy i pałace z herbami polskimi a w magazynach zbożowych, niegdyś Sobańskich, mieszczą się obecnie koszary i zarząd żandarmeryi. W okolicach Odesy istnieje dużo wsi i miejscowości z polskiemi nazwami: 4 Kochanówki, 12 Marjanówek, 2 Mazurówki, 4 Jabłońskie, 32 Zofijówki, Wandalinka, Stanisławka, Poniatówka, Potockie, Wielkie Potockie, Sewerynówka i wiele innych.

Pod względem ilości inteligencyi polskiej, polskich zawodowców, rzemieślników, robotników, Odesa była naówczas bezwarunkowo największą i najbardziej ożywioną kolonią polską.

Po krótkiej przerwie nowa fala wygnańców polskich zaczęła napływać do Rosyi i na Syberyę. Początek zrobili towarzysze Łukasińskiego, następnie Filomaci i Filareci wileńscy. Bardzo dużo młodzieży zostało wygnanej czasowo lub nazawsze do miast rosyjskich; w ich liczbie: Adam Mickiewicz, Zan, Czeczot, Jeżewski, Oryentalista Józef Kowalewski, profesor Wileński, wysłany do Kazania, poznał tam języki wschodnie, podróżował następnie po Mongolii i Chinach dla studyów, napisał wiele dzieł po rosyjsku i stał się chlubą nauki rosyjskiej. Wielu zostało wysłanych jako prości żołnierze do wojsk załogujących na Kaukazie, na granicy Turkestańskiej, na Syberze, hen aż za Bajkał i Amur.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

# Wychodźtwo na Syberję.

Głód jest złym doradcą, bieda i nędza najdziwaczniejsze wytwarzają pomysły; jeżeli wychodźtwo ludu polskiego nie jest naogół biorąc objawem dodatnim, stanowiąc zło konieczne, to kierowanie się tego ruchu żywiołowego w niewłaściwe strony jest już złem nie tylko niekoniecznem, ale wprost niedopuszczalnem, z którem wytrwale, systematycznie walczyć należy.

Poważne przesilenie ekonomiczne w połączeniu z zaostrzeniem się przeciwieństw klasowych i sprzeczności poglądów społecznych wywołały w Zagłębiu Dąbrowskiem takie warunki, że nie już dla setek ale wprost dla tysięcy miejscowego ludu roboczego wychodźtwo, czyli innemi słowy jaknajszybsza ucieczka z kraju niedostaku i przymierania głodem, stała się jedynem wyjściem z położenia w najwyższym stopniu krytycznego.

Myśl opuszczenia kraju rodzinnego i szukania kawałka chleba gdzieindziej nie jest dla ludu polskiego nowością, nie jest czemś niezwykłem, i wszyscy patrzymy na ten objaw z pewną rezygnacją bezsilności i niezdolności stawienia temu nieuniknionemu procesowi oporu; wszakże doszliśmy już przynajmniej do słusznej oceny tego, w jakim kierunku ruch żywiołowy iść powinien, a gdy sam nie idzie, w jaką stronę zwracać go należy.

Prasę naszą obiegały od dłuższego czasu coraz częściej i uporczywiej powtarzające się wieści o masowem wychodźtwie na Syberję; zarówno przemysłowcy (oczywiście tylko Polacy) z Zagłębia jak i miejscowa inteligencja, szczerzej i serdeczniej z ludem roboczym spółczująca, zaczęli z trwogą spoglądać na

ten niewytłomaczony pozornie ruch wychodźczy na Syberję, która ze wszystkich kątów na globie ziemskim dla naszego wychodźtwa najmniej zdaje się być odpowiednia. A wobec tego, że garść ludzi dobrej woli krząta się w kraju około zorganizowania polskiego ruchu wychodźczego z Królestwa wskazaną rzeczą było zwrócić się do kogokolwiek z nich z propozycją przyjechania na miejsce i zbadania tej sprawy jakoteż obmyślenia potem jakichś środków zaradczych.

Mnie spotkała zaszczytna propozycja pojechania do Zagłębia i zajęcia się tą piekącą sprawą; skoro w dodatku zarząd Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami upoważnił mnie do działania w swojem imieniu jakoteż do zebrania wszelkich potrzebnych informacyj, które mogłyby posłużyć jako punkt wyjścia do jakiejś dalszej, stałej zorganizowanej akcji, wybrałem się do Sosnowca i tutaj rzeczy bliżej przyjrzeć się postanowiłem.

I oto wyniki mego osobistego z rzeczą zetknięcia się: przedewszystkiem wszelkie podejrzenia jakiejś pokątnej, nieczystej, dla ludu naszego szczególniej wrogiej agitacji, okazały się całkiem nieuzasadnione; przypuszczenie, że jest w tym ręka bądź rządu rosyjskiego, starającego się tą drogą pozyskać liczny zastęp kulturalnych, pracowitych i ze wszech miar pożądanych osadników, bądź jakichś spekulantów, pragnących dostarczyć taniego robotnika przedsiębiorcom syberyjskim, okazało się zupełnie fałszywe. Odbywszy konferencję z komisarzem do spraw włościańskich powiatu bendzińskiego, przyszedłem do niewątpliwego przekonania, iż rządowi cała ta afera jest nawet nie na rękę, że komisja przesiedleńcza w Petersburgu pierwotnie dawania działek ziemi skarbowej naszym przesiedleńcom odmówiła i że dopiero wysłanie specyalnej delegacji na zmianę tego postanowienia ostatecznie wpłynęło, czego dowodem charakterystyczny doku-

ment, którego kopję w rękach posiadam, świadczący o usilnych zabiegach ludności robotniczej Zagłębia jakoteż o używaniu wszelkich dróg, które przypuszczalnie do celu tego mogłyby doprowadzić.

Poszukiwanie jakichś handlarzy żywym towarem i siłami roboczemi ludu polskiego również zgoła do żadnego wyniku nie doprowadziło; natomiast żadnej nie ulega wątpliwości, że prawdziwymi agitatorami są przemysłowcy Zagłębia Dąbrowskiego, są administratorzy i dyrektorowie kopalń węgla i fabryk, z wyjątkiem dwuch dyrektorów polskich kopalń węgla, którzy zajmują stanowisko obywatelskie i którzy nawet nad tym ruchem dla ludu naszego niewątpliwie zgubnym szczerze boleją i pragnęliby mu tamę położyć. Zagłębie Dąbrowskie znajduje się, niestety, w rękach kapitalistów francuskich, którzy są znacznie gorsi i bezwzględniejsi, jeżeli to wogóle jeszcze możliwe, od kapitalistów niemieckich, którzy prowadzą pod każdym względem typowo rabunkową gospodarkę, eksploatując bez miłosierdzia zarówno skarby w polskiej ziemi ukryte jakoteż polskie siły robocze.

Chwilowo byłoby w Zagłębiu źle nawet wtedy, gdyby kapitaliści inaczej się z robotnikami obchodzili. Nie ulega wątpliwości, że wywołane rewolucją przesilenie ekonomiczne jeszcze nie ustąpiło, że kopalnie węgla nie tylko pracują po pięć dni w tygodniu zamiast sześciu, ale nadto jeszcze wskutek lekkiej zimy i zastoju w przemyśle metalurgicznym, mając znaczne zapasy węgla, wykonywują prace przygotowawcze zamiast filarowych, polegających na wydobywaniu węgla, czyli prace gorzej płatne, co powoduje znaczną obniżkę i tak już niskich zarobków ludności kopalnianej, kiedy tymczasem środki do życia poszły w cenę, utrzymując się na tym wysokim poziomie i powodując długotrwałą drożyznę.

Ale nie dość tego, gdyż administracje fabryk

i hut wydalają masowo starych robotników, którzy w dobie dni wolnościowych uzyskali pewną poprawę bytu, a przyjmują młodych na gorszych warunkach z przed doby rewolucyjnej, które głodem przyciśnięci bez żadnego wahania przyjmują. Bezwzględność w tym kierunku jest wielka i niema żadnej nadziei, ażeby położenie rzeczy rychło zmienić się mogło.

Oto są agitatorzy emigracyjni, oto prawdziwe hyeny doprowadzające setki, ba nawet tysiące ludu roboczego, do nędzy i kija żebraczego. Czyż wobec tego można się dziwić, że nagle powstał w Zagłębiu silny żywiołowy ruch wychodźczy, którego oczywiście w danej chwili nic powstrzymać nie zdoła?

Zachodzi wszakże pytanie, dlaczego ludzie ci zwrócili swą uwagę na Syberję, o której najlżejszego nie mają wyobrażenia, która jak powiedziałem nie nadaje się zgoła na kolonizację polską? I ta rzecz, pozornie tajemnicza, tłómaczy się bardzo prosto; dzięki zamieszkom rewolucyjnym poważna ilość najlepszych z pośród robotników znalazła się przymusowo na Syberji, gdzie wziąwszy się do rzemiosła znalazła odrazu dobry kawałek chleba. Ci zesłańcy, którzy z niewolników kapitału stali się nagle niezależnymi obywatelami, którzy zyskali wolność osobistą, która po wyjściu terminu zsyłki stanie się .bezwzględną, pisują entuzjastyczne listy do pozostałych w kraju, przedstawiając Syberję w różowych kolorach i zachęcając wszystkich do przyjazdu. Sam czytałem listy takiego zesłańca politycznego, który stał się gorącym patrjotą syberyjskim. Ludzie ci nie zastanawiają się nad faktem, że zdobyli sobie dobry kawałek chleba jako rzemieślnicy, a tymi przecież wszyscy być nie mogą, wskutek czego bardzo wielu na pewną nędzę zostaje narażonych, wszakże takiego krytycyzmu od od nich wymagać nie można, a że działają w dobrej wierze, to żadnej nie ulega wątpliwości, ponieważ

nie występują w charakterze agentów czyichkolwiek i żadnego interesu osobistego natury materjalnej napewno w tem nie mają.

Drugą kategorję agitatorów również zupełnie bezinteresownych stanowią żołnierze z wojny japońskiej, ktorzy niewątpliwie mieszają Mandżurję z Syberją i na rachunek tej ostatniej wszystkie przymioty ziemi mandżurskiej zapisują. Osobiście miałem sposobność rozmawiać z takim byłym żołnierzem, który opowiadał rzeczy z prawdą nielicujące, a jakkolwiek udało mi się zaraz jego wiadomości odnoszące się do klimatu syberyjskiego poddać krytyce to jednakże nadal obstawał przy twierdzeniu, że klimat syberyjski niewiele się różni od polskiego.

Nakoniec zaznaczyć należy, że potężnym agitatorem jest fakt, iż rząd rozdaje ziemie skarbowe przesiedleńcom z Europy, i to rozdaje zupełnie za darmo, a nawet udziela bezprocentowych zapomóg w gotówce, dając przejazd na miejsce prawie darmo, bo za czwartą część trzeciej klasy czyli za tak zwany w Zagłębiu popularnie, »czwarty grosz«. Nic to, że dla gubernii, które ziemstw nie posiadają, zostały przeznaczone jedynie dwie gubernje: irkucka i jenisejska oraz Daleki Wschód, na który wszakże do tej pory nikt się nie wybiera; nic to, że nie ma już prawie ziemi ornej a pozostały jedynie lasy, które naprzód wykarczować trzeba, aby módz je uprawić i zasiać; nic — to, że zapomoga przez rząd wydawana w sumie rb. 100 jest wobec panującej drożyzny środków do życia i sił roboczych kwotą zgoła nic nie znaczącą i że przejada się ją w mig, zostając dalej bez grosza w kieszeni; nic — to, że ziemi tej rząd nie daje na własność, lecz jedynie w bezterminową używalność z ojca na syna, lecz że jej ani sprzedać, ani nawet odstąpić nie można; wszystko to nic nie znaczy, wszyscy bowiem wiedzą jedno tylko, że rząd

daje po 15 dziesięcin czyli po trzydzieści morgów na każdą męzką duszę, że daje drzewo na budulec, że daje zapomogę w gotówce, że przez pierwszych pięć lat nie trzeba wcale płacić podatków, przez następnych zaś pięć jedynie połowę podatków, że przedewszystkiem nie będzie tam już ani kapitalistow, ani dyrektorów, że nikt nie będzie mógł bez litości »wygnać za bramę« z żoną i dziećmi, że Syberja da możność znalezienia kawałka chleba, o który we własnym kraju tak trudno.

Wobec faktu, że wszystkie zdobycze dni wolnościowych zostały już prawie w całości odebrane, że więc dni te całkowicie zbankrutowały, nadto nie ma żadnych widoków rychłej poprawy bytu materyalnego, ponieważ administracja związki zawodowe prześladuje a nawet zamyka, przeto gorączką syberyjską zostali dotknięci już nie tylko głodem przymierający ale nawet mający jakie takie znośne zarobki i wystarczający kawałek chleba. Wszakże ten nastrój psychiczny jest bodaj całkowicie zrozumiały i dziwić się mu nie należy.

Wobec tego, że rząd nie da ziemi póty, póki nie przybędą na miejsce delegaci, mogący reprezentować conajmniej dziesięć pojedyńczych rodzin, i nie upatrzą a nawet nie wybiorą sami ziemi, przeto kandydaci na przesiedleńców wysłali swych delegatów, dając im po 100 rubli na głowę, z czego po sześćdziesiąt zostawili w domu na życie żonom i dzieciom a po czterdzieści zabrali ze sobą na drogę; jeżeli się zważy, że delegatów takich wyjechało przeszło stu, to łatwo obliczyć, jak kolosalną sumę wydali ci nędzarze jedynie po to, aby się dowiedzieć, że delegaci ziemi nie obrali, ponieważ znaleźli warunki dla naszych przesiedleńców jaknajgorsze i stanowczo od wszelkiego wychodźtwa na Syberję obecnie po powrocie odmawiają. Jeżeli zaś zważymy, że ludzie ci po-

sprzedawali poduszki i meble na to, aby módz wysłać delegatów, uważając to za ostatnią dla siebie deskę ratunku, widząc zatem jedynie śmierć głodową, to możemy sobie wyobrazić, jaki musi obecnie panować nastrój wśród biednej ludności Zagłębia Dąbrowskiego.

Zarząd Towarzystwa Opieki na Wychodźcami, który mnie do zbadania tej sprawy delegował, pragnie zapoczątkować jakąś akcję, zmierzającą do zorganizowania ślepego ruchu wychodźczego i do zaradzenia palącej potrzebie. Niestety, rzecz jest z różnych względów niezmiernie trudna; przedewszystkiem Towarzystwo Opieki nad wychodźcami, jako instytucja bardzo młoda, nie posiada jeszcze ani środków dostatecznych, ani stosunków na to, aby tak olbrzymie i trudne zadanie odrazu spełnić, a tymczasem życie nie czeka, głód biedakom kiszki skręca i trzeba coś radzić, aby nie doprowadzać ludzi do rozpaczy, bo to zły doradca.

W tej potrzebie zwróciliśmy się do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie z prośbą o po moc, której nam nie odmówiono. Na tym wszakże nie koniec, bo i sami wedle sił i możności postaramy się w najkrótszym czasie akcję jakąś poprowadzić przez założenie w Sosnowcu swego oddziału, czy otworzenie biura, któreby stale informacji i pomocy na miejscu udzielało. Skoro tylko rzecz wejdzie na tory praktyczne, nie omieszkam niezwłocznie podać o tym obszerniejszą wiadomość na łamach »Przeglądu«.

*Wojciech Szukiewicz.*

---

## Jeszcze o syndykacie rolniczym w Paranie.

W jednym z ostatnich N. N. Przeglądu p. Hempel dość obszernie odpowiedział na mój artykuł w poru-

szonej przez siebie poprzednio sprawie utworzenia syndykatu, podtrzymując w dalszym ciągu swoje zdanie, co do jego internacyonalnego niejako charakteru i zbijając moje zarzuty. Rozumie się, kwestya ostatecznie w ten sposób wyczerpaną nie została i każdy z nas ma zapewne w zapasie jeszcze niejeden argument na korzyść swych zapatrywań, tembardziej, że w mej odpowiedzi oczywiście dotknąłem tylko ogólnikowo niektórych kwestyj.

Zdaje mi się jednak, że na dłuższej polemice, co do tego jakiego zabarwienia powinno być stowarzyszenie parańskich rolników, sama sprawa nie wieleby zyskać mogła. Byłoby natomiast bardzo pożądanem, aby nie skończyła się li tylko na wymianie poglądów między trzema ludźmi (prócz mnie dotychczas jeden p. St. Osada z Płł. Ameryki zabrał głos). Tymczasem ludzi, mających kwalifikacye wystarczające do rozstrząsania tej kwestyi znalazłaby się spora liczba i w starym kraju i wogóle zagranicą i w samej Paranie.

Należałoby więc bez długich wstępów pomyśleć nad tem, jakich to środków i sposobów użyć można, aby projekt p. H. w tej czy innej formie został praktycznie zużytkowany a nie poszedł szybko do kosza, jak wiele innych. P. H. wspominał również, że w przyszłości mógłby go rozwinąć szczegółowiej i byłoby pożądanem, aby to zrobił jaknajspieszniej.

Nota bene pozwolę sobie wyrazić zdanie, że na inicyatywę ze strony samych Parańczyków liczyć trudno, są oni jeszcze za mało solidarni i... oświeceni.

Kwestyę tę musiałaby więc ująć w swoje ręce jakaś już istniejąca organizacya, mająca stałe stosunki z Paraną, zaprosić do wspólnej pracy odpowiednich ludzi, przedyskutować projekt wszechstronnie, obmyśleć statut i początkowe środki materyalne, i rozpo-

cząć już planową agitacyę na miejscu w Paranie. Sądzę że roli takiej mogłoby podjąć się Polskie Tow. Emigracyjne.

Nie łudzę się, że projekt p. H. jest łatwy do wykonania, znam bowiem doskonale naszych kolonistów i wiem, że wolą zawsze kłócić się z sobą i dzielić na kółka i kółeczka, niż łączyć się i organizować. Również tak czy owak teoretycznie wypracowanego statutu nie można, jak sądzi p. H. wprost narzucić kolonistom, w tem tkwi poważna trudność. (p. H. utrzymuje że do związku nie dostaną się Niemcy kapitaliści i wogóle jednostki dlań szkodliwe, ponieważ statut jasno określi kto będzie w związku, a kto za nim, zapomina jednak o tem, że wykonawcami będą koloniści a nie on sam). Są jeszcze w Paranie pewne korporacye, które stosownie do programu p. H. powinnyby znajdować się po za Związkiem, a mimo to wpływ mieć będą ogromny. Mam tu na myśli polskie duchowieństwo, które z reguły uważa Paranę za ziemię (dla siebie) obiecaną i, podobnie jak w Północnej Ameryce, dąży do zagarnięcia w swe ręce władzy nad ciałem i mieniem kolonisty, który w większości wypadków po radę pójdzie zawsze na plebanię. Tam mu powiedzą, aby zamiast o syndykacie myślał o swej duszy i składkę zrobił raczej na rzecz księdza niż jakiegoś syndykatu, który zapewne w krótkim czasie doprowadzi go do masoneryi.

Z tem trzeba się liczyć. Syndykat więc, aby uzyskać poparcie kolonistów, musiałby im dawać odrazu jakieś widoczne korzyści, np. zbyt produktów i t. d. inaczej żaden nie przystąpi do związku i nie da ani szeląga. Słowem trudności do pokonania jest wiele, wspominam tylko o niektórych; sprawy tej w jednym artykuliku nie można wyczerpująco obmówić.

Odkładając zatem na później kwestyę, w jakiej szacie ma chodzić związek, czy w narodowej, czy

w innej, pozwolę sobie poddać pod dyskusyę następujące pytania:

1) Czy wogóle związek taki jest możliwy w Paranie?

2) Jakie korzyści może przynieść i jakie wogóle ma zadanie?

3) Jak przystąpić do zorganizowania związku w praktyce?

Sądzę, że projekt p. H. nie skończy się na kilku polemicznych artykułach i powinienby więcej zainteresować ogół, niż to widocznem jest dotąd, zwłaszcza wobec ostatnich wieści z Parany o możliwem utworzeniu się nowego stanu, »przeważnie polskiego« z jej południowej części, na który, nawiasem mówiąc, ci Niemcy, których p. H. tak uprzejmie zaprasza do Syndykatu, już dawno ostrzyli sobie zęby.

A więc komu sprawa naszej emigracyi leży na sercu, niech głos zabiera.

*Jan Skomorowski.*

---

# Urzędowe ostrzeżenie przed emigracyą do Brazylii.

Poniżej ogłaszamy nadesłany nam przez Prezydyum Namiestnictwa we Lwowie następujący komunikat z ostrzeżeniem dla emigrantów, wybierających się do Brazylii:

»Mimo wielokrotnych ostrzeżeń wzrasta od roku 1908 stale emigracya z Austryi do Brazylii. Wielu z emigrantów zostało namówionych do wyjazdu do Brazylii przez indywidua, które nie można pociągnąć do odpowiedzialności, lub też przez niesumiennych agentów, obiecujących wolny przejazd tudzież inne korzyści i wsparcia. Po przyjeździe do Brazylii są jednak emigranci w wielu wypadkach narażeni na

największą nędzę i tylko rzadko znajdują lichą egzystencyę.

»Kryzys gospodarcza, jaka w roku 1908 w Brazylii wybuchła, wpłynęła ujemnie na położenie ekonomiczne emigrantów. Obowiązujące ustawy kolonialne w Brazylii nie dają obcym osadnikom żadnej gwarancyi co do ich egzystencyi i przyszłości. Brak też jakiejkolwiek organizacyi pracy, a przedewszystkiem brak zorganizowanego kredytu gospodarczego, któryby dopomógł małemu właścicielowi gruntowemu pokonać początkowe trudności, które panująca w Brazylii drożyzna jeszcze bardziej powiększa.

»Także stosunki w państwach brazylijskich: Parana, Sao Paulo i Minas Geraes, do których przedewszystkiem kieruje się osadników, nie są pozazdroszczenia godne. Braki, jakie panują w kolonizacyi tych państw, należy przypisać gwałtownemu wzrostowi przypływu emigrantów, mimo że brazylijskie władze emigracyjne rozwijają w kierunku pokonania tych braków szeroką działalność.

»Położenie w koloniach, założonych w roku 1908 w stanie Parana, było na ogół niekorzystne. Dochód, jaki przynosiły prymitywnie uprawiane pola, nie wystarczał na utrzymanie przeważnej części emigrantów, a niskie zarobki, które wypłacano najczęściej w przekazach na artykuły żywności, nie wystarczały z powodu przesadnie wysokich cen — wielu rodzinom na nabycie najpotrzebniejszych artykułów codziennych. Pomimo istniejących przepisów osadniczych, które emigrantom podczas pierwszych sześciu miesięcy po przybyciu do kolonii i do pierwszego zebrania i sprzedania produktów ziemnych przyznają wsparcia potrzebne do życia z zastrzeżeniem późniejszego zwrotu, w praktyce już w pierwszych sześciu miesiącach wydaje się emigrantom przekazy na uzyskanie artykułów żywności u dostawców komisyi osadniczej

tylko pod warunkiem, że przez trzy dni w tygodniu pracują przy budowie dróg. Wobec tego pozostają im tylko trzy dni w tygodniu do pracy rolnej na lotach (otrzymanych działach ziemi). Czas ten bywa przez to także skróconym, że emigranci wskutek nadzwyczaj powolnego postępowania budowy domów, muszą mieszkać miesiącami w barakach, z których nierzadko kilka godzin drogi mają do swoich lotów.

»W koloniach Xavier da Silva, Senador Correira, Miguel Calmon i S. Roque było położenie austryackich emigrantów w wielu wypadkach, pomimo przeważnie urodzajnej ziemi, smutne, miejscami nawet doprowadzało do rozpaczy, tak że wielu z emigrantów opuściło kolonie, a niektórzy z nich na koszta państwa ojczystego musieli wracać do domu. Szczególnie przykre stosunki były na kolonii Xavier da Silva, gdzie zwolniony z zajmowanego stanowiska kierownik kolonii popełnił najcięższe przekroczenia na poruczonych jego pieczy osadnikach.

»Założona przez towarzystwo kolejowe »Brasil Railway Company« kolonia Legru przy Porto da Uniao posiada mało przydatną rolę do uprawy. Ciężkie doświadczenia, jakie porobili austryaccy robotnicy w służbie tego Towarzystwa, powinny być przestrogą dla chętnych do emigracyi, którzy mają zamiar w tej kolonii się osiedlić.

»W stanie Sao Paulo było położenie tych austryackich emigrantów, którzy w r. 1908 tam przybyli i za grunta otrzymane jeszcze nie zapłacili, również bardzo przykre, ponieważ byli zmuszeni starać się nietylko o środki do życia, lecz także o zapłacenie pierwszych rat, a przez to popadli przy panującej stagnacyi gospodarczej, która dopiero w ostatnich czasach się poprawiła, zaraz z początku w trudności, tak że większa część z nich musiała grunta opuścić i udać się albo do sąsiednich miast, albo też

wrócić do ojczyzny. Przypływ do miast pozostał jednak dla szukających pracy bez korzyści, ponieważ wskutek ogólnego ograniczenia produkcyi nie było potrzeba sił roboczych.

»Ci emigranci, którzy znaleźli zatrudnienie w plantacyach kawy, osiągnęli wprawdzie przeciętny zarobek dzienny 4 do $6^1/_2$ koron, jednakże zarobek ten w wielu wypadkach albo z powodu zadłużenia właścicieli plantacyj kawy nie został im zupełnie wypłacony, albo też wskutek wszelkiego rodzaju oszukańczych czy też niesprawiedliwych redukcyi zarobku, został im o 20 do 40% ukrócony. Także i w innych gałęziach zarobku widoki się popsuły.

»W stanie Minas Geraes, położonym na północ od Sao Paulo, nie nadają się kolonie dla austryackich osadników. Przedewszystkiem musi się nazwać stosunki, panujące w kolonii Joao Pinheiro, dokąd w ciągu r. 1908 licznie austryaccy emigranci udali się, jako okropne. Kolonia ta, której klimat jest bardzo zły, cierpi na brak zdrowej wody do picia i niema w niej żadnych urządzeń sanitarnych. Budynki, wystawione przez rząd związkowy, są z najgorszego materyału i w najgorszy sposób budowane. Postępowanie urzędników kolonialnych wobec kolonistów osiągnęło wysoki stopień samowoli i korupcyi. Koloniści nie znajdują u urzędników żadnej życzliwości i są wystawieni na najgorsze wykroczenia i samowolę. Ogólnie także uskarżają się osadnicy na to, że ich córki są narażone na wielkie niebezpieczeństwa z powodu panującej niemoralności. Także były bardzo częste skargi na naruszanie tajemnicy listowej.

»Osadnicy austryaccy, którzy w ciągu roku 1908 tamże osiedlili się, opuścili tę kolonię, porzucając całe mienie i będąc wogóle zadowoleni, że mogli życie uratować. Nie lepiej przedstawiają się stosunki w innych koloniach państwa Minas Geraes.

»Stosunki życiowe w dystrykcie związkowym Rio de Janeiro i w stolicy samej były, z powodu nadzwyczajnej drożyzny, dla europejskich emigrantów bardzo niekorzystne.

»W r. 1909 werbowano w Europie robotników do budowy kolei w górnej części rzeki Amazonki. Jednakże stosunki klimatyczne mają być tamże bardzo niekorzystne, a traktowanie i sposób żywienia europejskich robotników przy budowach kolei w Brazylii pozostawia bardzo wiele do życzenia.

»Wobec powyżej przedstawionego stanu rzeczy, ostrzega się jaknajbardziej przed emigracyą do wymienionych stanów brazylijskich«.

Powyższy komunikat, jakkolwiek w pewnych szczegółach niezupełnie się zgadza z informacyami, jakie mamy od wiarogodnych osób prywatnych z Parany i Rio Grande do Sul, powininien być przestrogą dla osób, lekkomyślnie wybierających się do Brazylii w nadziei, iż bez znacznych trudności i wielkiego nakładu pracy znajdą tam odrazu dobrobyt i niezależność.

Trzeba jednak przyznać, iż obecnie emigracya do Brazylii u nas prawie nie istnieje, a liczba wychodźców, udających się tam najczęściej na wezwanie swych krewnych lub znajomych, rzadko kiedy przekracza kilkadziesiąt osób na miesiąc. Dzieje się tak pomimo faktu, że emigranci, udający się z rodzinami do Brazylii, mogą, o ile zadośćczynią pewnym warunkom, znów korzystać z bezpłatnego przejazdu przez morze, w stanie zaś Rio Grande do Sul założona została przez tamtejszy rząd prowincyonalny nowa kolonia czysto polska, Erechim, na której przybysze polscy z Europy otrzymują grunta na dość korzystnych warunkach.

# Odezwa Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami w Warszawie.

Zwiększająca się z roku na rok emigracja sezonowa, (przeważnie do Prus) i zaoceanowa, wyrażająca się dziś już w olbrzymiej cyfrze 600,000 dla ziem polskich, z czego blizko 400,000 wychodźców przypada na Królestwo, jest zjawiskiem, z którem społeczeństwo nasze rachować się musi

Te setki tysięcy ludzi idą przeważnie na oślep, nawet nie w kierunku interesu własnego, lecz li tylko w kierunku interesu materjalnego, większej lub mniejszej prowizji nieodpowiedzialnych przed nikim, ciemnych agentów. Wyzyskiwani i oszukiwani na każdym kroku swej drogi ciernistej, wychodźcy nasi idą w świat za chlebem, bo muszą i dobijają do celu polepszenia bytu jedynie przypadkowo, drogą największych i bezużytecznych nieraz wysiłków. Obojętną zwykle opinię publiczną przerażają czasami takie fakty, jak tłumne powroty z Prus zawiedzionych i złudzonych kłamliwemi obietnicami, jak pozostawienie na bruku portu holenderskiego kilkunastu tysięcy ludzi z powodu podstępnego bankructwa podejrzanej kompanji okrętowej. Pozatem nic zgoła się nie robi. A tymczasem równocześnie wyludniają się całe okolice nadgraniczne kraju, warsztaty rolnicze zostają tam pozbawione robotnika, gdy w głębi Królestwa mamy raczej nadmiar rąk do pracy.

Te ruchy ekonomiczne i zarobkowe naszych warstw ludowych trzeba koniecznie uregulować; trzeba to uczynić w ich własnym interesie, w interesie całego społeczeństwa, w imię najogólniejszego interesu narodowego.

W dziedzinie emigracji w państwach i krajach ościennych współdziałają rządy i społeczeństwa. Skuteczną opiekę nad wychodźcami roztaczają konsulaty zagraniczne; pośrednictwem w wyszukiwaniu pracy zajmują się instytucje samorządne, a szereg osobnych stowarzyszeń spieszy im z pomocą, opieką, informacją, ułatwieniem powrotu.

Na ziemiach polskich to pole pracy zupełnie dotąd leżało odłogiem. Dopiero przed dwoma laty, w Galicji, rozpoczęto pracę na zaniedbanej niwie, powołując do życia Polskie Towarzystwo Emigracyjne; od paru tygodni istnieje i w Królestwie instytucja podobna, Towarzystwo opieki nad wychodźcami.

Najogólniejszem jego zadaniem jest uregulowanie wychodźtwa, dążenie do zapanowania nad ruchem, aby nim potem pokierować, czyli prowadzić politykę emigracyjną. To zadanie

ogólne rozbija się na kilka poszczególnych. Więc w zakresie ruchu wewnętrznego, przechodzenia robotników rolnych z jednej okolicy kraju do drugiej — informacja o podaży i popycie rąk roboczych, warunkach płacy w różnych okolicach, zaspokojenie potrzeb krajowych i zawieranie kontraktów. W zakresie wychodźtwa sezonowego zagranicę — również informacja o płacy zarobnej i pośrednictwo w zawieraniu kontraktów, wyszukiwanie nowych pól pracy, usiłowanie powiększenia zarobków przez skoncentrowanie wychodźtwa i zawieranie kontraktów masowych, uzyskanie lepszego traktowania robotnika polskiego zagranicą, wreszcie moralna opieka nad wychodźcami. W zakresie wychodźtwa zaoceanowego — informacja o wysokości zarobków w różnych gałęziach pracy oraz kosztach utrzymania w różnych miejscowościach, wreszcie o stanie rynków i zmiennych warunkach ekonomicznych, otoczenie wychodźców opieką, pomoc w uzyskaniu kart okrętowych na statkach tych kompanii przewozowych, które emigrantom naszym zapewnią możliwie najlepsze warunki przejazdu, w uzyskiwaniu paszportów, w ułatwianiu powrotu. Wreszcie w zakresie osadnictwa — przeciwdziałanie zapomocą dokładnych wiadomości spekulacjom gruntowym, rozsiewaniu przesadnych wieści o pomyślności zamorskiej, i— znowu opieka i pomoc.

Tak pojęta działalność naszego Towarzystwa, rozporządzanie ścisłym i bogatym materjałem informacyjnym musi zdaniem naszem z konieczności ograniczyć wychodźtwo, a przynajmniej jego charakter ślepy, żywiołowy zastąpić cechami planowości i obmyślenia. Taką działalność zresztą przepisuje nam ustawa, mówiąc, że Towarzystwo nie zachęca nikogo do emigracji, ograniczając się tylko pomocą dla tych, którzy emigrować postanowili.

Przechodząc z kolei do sposobów wykonania tych olbrzymich zadań, które stawia sobie Towarzystwo opieki nad wychodźcami, zaznaczyć trzeba, że nie jest ono instytucją filantropijną.

Koszta, wynikające z wykonania jego zadań, zamierza pokrywać z umiarkowanych opłat za pośrednictwo. Z drugiej strony nie jest także instytucją finansową; przewyżka dochodów nad rozchodami może być używana jedynie na wykonanie zadań Towarzystwa, a żadne dywidendy członkom wydawane być nie mogą.

Jeżeli jednak w przyszłości Towarzystwo nasze będzie mogło stanąć i rozwinąć się o własnych siłach, dziś, na początek, kiedy czekają nas wysokie koszty zbierania informacyj, organizacji biura i t. d. możemy i musimy tylko liczyć na

składki członków, jako na podstawę istnienia. W prostym stosunku do popularności, jaką zyska Towarzystwo w najszerszych sferach naszego społeczeństwa, stoi szybki jego rozwoj, a, co za tem idzie, zaspokojenie pilnej potrzeby społecznej. A znaczna ilość członków potrzebna nam jest nietylko jako podstawa materjalna naszej działalności, ale i jako wyraz zainteresowania i czynnej pomocy, jaką przy wykonaniu zadań naszych znaleść koniecznie musimy.

Wiemy dobrze, jak trudno dziś o grosz na cele publiczne, jak ofiarność społeczeństwa zmalała, jak dużo jest pierwszorzędnych potrzeb. Jeżeli jednak nie cofamy się od rozpoczęcia trudnej pracy, to czynimy to w przekonaniu, że na jednorazowy datek, chociażby większy, każdego stać będzie, gdy pomyśli, że emigruje corocznie tylko do Ameryki lwia część przyrostu ludności polskiej, że emigruje młodzież, a więc najlepsze i najsilniejsze jednostki, że dziewczęta w olbrzymiej liczbie giną dla braku opieki, gdy chociażby z dalszego, rzadszego zetknięcia się z ruchem wychodźczym przekona się o tym bezmiarze nędzy i niedoli, jaka jest jego udziałem.

Życie codzienne przynosi nam w różnych dziedzinach szeregi faktów niekorzystnych, którym tylko przypatrywać się możemy, nie mogąc im przeciwdziałać. Biernymi świadkami jesteśmy zdarzeń które nam w samo serce godzą. Niechże chociaż w jednej, pierwszorzędnej sprawie wychodźtwa, w której jeszcze coś pomódz i zdziałać możemy, miejsce bierności zastąpi czyn, mocne poparcie celów, zadań i pracy Towarzystwa Opieki nad wychodźcami.

**Zarząd Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami.**

Prezes: Henryk Dembiński. Wiceprezesi: ks. Jan Gnatowski, Ludwik Górski. Skarbnik: Tadeusz Balicki. Sekretarze: Wojciech Szukiewicz, Ludwik Włodek.

Członkowie zarządu: Michał Bojanowski, Jerzy Gościcki, ks. Wojciech Helbich, dr. Stanisław Kozicki, Stanisław Osiecki, Jerzy Skokowski, ks. Adolf Szelążek, Juliusz hr. Tarnowski, Bohdan Wasiutyński.

Członkiem wspierającym Towarzystwa Opieki nad wychodźcami może być każdy, kto złoży conajmniej 100 rb. składki jednorazowej; członkiem rzeczywistym zaś każdy, kto opłaci 5 rb. wpisowego i 6 rb. składki rocznej.

Adres do przysyłania deklaracji i pieniędzy: **Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami, Warszawa, Erywańska 6.**

# Kilka słów o okrętach holenderskich.

Przed paru miesiącami opisywałem na łamach »Przeglądu Emigracyjnego« hotel dla emigrantów, utrzymywany w Rotterdamie przez kompanię żeglugi morskiej »Holland-America Line«. Już po ogłoszeniu tego artykułu zaprowadzona została odnośnie do tego hotelu bardzo pożądana zmiana, a mianowicie wszyscy pasażerowie III kl. otrzymują w nim — bez żadnej dopłaty — nocleg i wikt aż do czasu odejścia okrętu. Zmiana ta ma tem większe znaczenie, iż nie pociąga za sobą podwyżki cen kart okrętowych.

Obecnie, korzystając ze sposobności, jaką mi daje podróż, odbywana do Ameryki właśnie na jednym z parostatków tejże kompanii, chciałbym choć w kilku słowach zapoznać czytelników z okrętam holenderskimi i ich urządzeniem.

Towarzystwo żeglugi morskiej »Holland-America Line« (po holendersku: »Holland Amerika Lijn«) założone zostało w roku 1874. Rozporządza ono teraz 6 parowcami pasażerskimi (nie licząc okrętów frachtowych), utrzymującymi regularną komunikacyę tygodniową między Rotterdamem a Nowym Jorkiem. Największy z tych statków »Rotterdam« posiada 24.170 ton, należy przeto do największych olbrzymów okrętowych, jakie wogóle istnieją. Z pozostałych 5 statków największym jest »Nieuw Amsterdam«, obejmujący 17.250 ton, najmniejszym »Statendam«, o 10.490 tonach. Przeciętny więc statek należy do typu okrętów większych, a także »Noordam«, którym odbywam mą podróż, może wygodnie pomieścić 1000 pasażerów III klasy i po kilkaset pasażerów I i II klasy.

Okręty holenderskie należą do rzędu tych, które posiadają najlepsze urządzenia dla pasażerów III klasy, a więc dla wychodźców. Przedewszystkiem podnieść należy, że wszystkie te okręty mają kajuty

III klasy, urządzone każda na 2, 4 lub 6 osób. Wychodźcy więc nie śpią tu w salach ogólnych, lecz w osobnych przedziałach. III klasa podzielona bywa zwykle na trzy oddziały: oddział dla mężczyzn, oddział dla kobiet i oddział dla rodzin. Podział ten posiada pewną niedogodność dla podróżnych, a mianowicie wtedy, gdy jeden z takich oddziałów nie ma żadnego połączenia z drugim, co zupełnie uniemożliwia podczas całej podróży wzajemne porozumiewanie się między odpowiednio ugrupowanymi wychodźcami nawet wtedy, gdy należą oni do bliskich przyjaciół lub znajomych. Na »Noordamie« naprzykład mężczyźni umieszczeni w oddziale męskim na przodzie nie mają sposobu porozumiewania się z pasażerami III klasy, przebywającymi w oddziale dla kobiet lub rodzin, które znajdują się w tylnej części okrętu przedzielonej klasą pierwszą i drugą.

Drugą ważną dogodnością, jaką przedstawiają statki holenderskie — są odpowiednio urządzone jadalnie, gdzie wychodźcy spożywają śniadania, obiady i kolacye przy stołach, nie będąc zmuszeni do wędrówki po jadło do kuchni i do własnoręcznego mycia naczyń, jak się to dzieje na okrętach wielu innych kompanij. Jadalnie te są dostępne przez cały dzień z wyjątkiem pory sprzątania, służąc w ten sposób za miejsce przebywania dla tych podróżnych, którzy dla jakichkolwiekbądź powodów nie mają ochoty spędzać czasu na pokładzie. Stanowi to także niemałą wygodę na okrętach bowiem niektórych innych kompanij wychodźcy są zmuszeni do przebywania przez cały dzień na pokładzie bez względu na stan pogody i ich wolę.

Wikt na okrętach linii »Hollan d-America« jes obfity i dobry, a traktowanie ze strony załogi i służby okrętowej nie daje powodów do żadnych skarg.

W każdą sobotę odchodzi jeden okręt z Rotter-

żerów w porcie francuskim Boulogne-sur-Mer. Cała podróż trwa 8 do 10 dni.

Pod względem bezpieczeństwa dają okręty tej kompanii możliwie jaknajwiększą gwarancyę, zaopatrzone są bowiem we wszelkie najnowsze aparaty i urządzenia zapobiegawcze.

Również klasy II i I urządzone są wygodnie; zwłaszcza I klasa odznacza się pełnym dobrego gustu komfortem i stylowem umeblowaniem salonów. Każdy z okrętów posiada stacyę telegrafu bez drutu systemu Marconiego, co umożliwia porozumiewanie się telegraficzne ze stałym lądem (za każdy wyraz depeszy, nadanej na pełnem morze, płaci się po 1 szylingu czyli 1 kor. 18 hal.) oraz wydawnictwo na okręcie specyalnej gazety, zawierającej w każdym numerze telegramy z najważniejszemi ostatniemi nowinami. Orkiestra okrętowa, złożona z zawodowych muzykantów, przygrywa podczas obiadu pasażerom I klasy, nadto zaś daje 2 razy dziennie koncerty na pokładach I i II klasy tak, że z dźwięków jej korzystać mogą również i pasażerowie III klasy. Kuchnia dla pasażerów kajutowych jest wyborna, służba zaś liczna i mówiąca oprócz angielskiego i holenderskiego także po niemiecku i po francusku.

Podczas krótkiego pobytu mego w Rotterdamie poczyniłem kroki, aby utworzyć tam posadę stałego, kapelana polskiego przy linii »Holland-America«. Miałby on sposobność odprawiania mszy w kapliczce polskiej, wybudowanej obok hotelu dla emigrantów, oraz opiekowania się naszymi wychodźcami, stanowiącymi obecnie przeważną część podróżnych, jadących do Ameryki na Rotterdam (na 700 pasażerów, jadących w III klasie na »Noordamie« około 500 stanowią Polacy, głównie Królewiacy z gubernii warszawskiej). Mam nadzieję, że starania me w tym kierunku uwieńczone zostaną pomyślnymi rezultatami.

Wreszcie muszę tu raz jeszcze podnieść, co już zaznaczyłem w artykule swym p. t. »Atlantic Express«, że linii »Holland America“ nie należy mieszać z kompanią «North-West Transport Linie«, mającą swą siedzibę również w Rotterdamie, reprezentowaną głównie przez ową lichej reputacyi agencyę »Atlantic Express«, nie posiadającą koncesyi w Austryi a roporządzającą całą sforą naganiaczy w Galicyi. *J. Ok*

**Na Oceanie Atlantyckim, (na pokładzie okrętu „Noordam“). dnia 7-go maja 1910 r.**

---

# Uchwały Kongresu polskiego w Waszyngtonie.

Sprawozdawcy z kongresu polskiego w Waszyngtonie podnoszą, iż z trzech sekcyj — politycznej, oświatowej i ekonomiczno-emigracyjnej, najgorliwiej i najskuteczniej pracowała ta ostatnia pod przewodnictwem pp. J. Smulskiego i dra W. Lewickiego.

Niestety, posiedzenia sekcyi tej — było ich dwa — trwały zaledwie po kilka godzin. Referatów osób nieobecnych nie odczytano wcale, referaty zaś osób, które były obecne, również nie zostały odczytane — pozwolono je streścić ustnie, przeznaczając na każdy po pół godziny, na dyskusyę zaś każdemu mówcy — po... pięć minut.

Pierwszy referat swój wygłosił p. Okołowicz, dyrektor P. T. E. Niezmiernie zajmujące były pozostałe trzy inne referaty, a mianowicie: Dra Napoleona Czarnockiego z Kanady (o widokach dla osadników w Kanadzie), Dra Łapowskiego z Nowego Jorku (o stosunkach zdrowotnych wśród robotników polskich w Ameryce) i p. Sakowskiej z Chicago (o polskich imigrantkach, ofiarach handlu żywym towarem).

Ułożone zostały i następnie uchwalone następu-

jące rezolucye, których całą pierwszą część przedłożył p. Okołowicz, końcowe zaś ustępy zaproponowane zostały przez p. Pasterza z Łańcuta i p. Smulskiego z Chicago:

„Polski Kongres Narodowy w Washingtonie wzywa całe społeczeństwo polskie tak w kraju ojczystym jak i na emigracyi do ustawicznego jaknajgorliwszego popierania akcyi opieki nad wychodźcami, prowadzonej w kierunku zabezpieczenia naszych interesów narodowych oraz obrony emigrantów przed wyzyskiem i błędami. Kongres wyraża nadzieję, iż instytucye obywatelskie, które akcyę w tym kierunku prowadzą w Ameryce oraz starym kraju, doznawać będą wszełkiego poparcia ze strony społeczeństwa i prasy polskiej, w braku bowiem podobnego poparcia ze strony ogółu, nie mogłyby one spodziewać się osiągnięcia swych celów. Jednocześnie jednak wyraża Kongres nadzieję, iż instytucye te, powołane do opieki nad wychodźtwem i imigracyą powrotną, zawiążą ze soba, dla skuteczniejszej działalności, stałe stosunki i pozostawać będą w ciągłej styczności. Zwłaszcza nieodzowną jest systematyczna i planowa działalność w celu ochrony dziewcząt polskich, udających się na obczyznę, przed niebezpieczeństwem, grożącem im ze strony handlarzy żywym towarem. W związku z tą sprawą starać się należy o wyjednanie u rządów stowarzyszenia państwowej opieki nad dziewczętami, podróżującemi w celach zarobkowych.

Kongres uchwala, żeby reprezentanci polscy w Stanach Zjednoczonych wyjednali u rządu Unii Stanów Zjednoczonych utworzenie konsulatu amerykańskiego w Krakowie.

Kongres uprasza posłów polskich w reprezentacyach państwowych, ażeby użyli całego swego wpływu na odnośne rządy w celu ustanowienia komisarzy emigracyjnych w miejscowościach, będących ważniejszem ogniskiem ruchu emigracyjnego.

Kongres uprasza Sejm Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Ks. Krakowskiem o jaknajrychlejsze ustanowienie w Stanach Zjednoczonych filii Banku Krajowego we Lwowie w celu ułatwienia wychodźcom polskim w Ameryce przesyłki pieniężnej do kraju macierzystego i odwrotnie z Galicyi do wychodźców w Ameryce, lub też upełnomocnienia Banku Krajowego we Lwowie, aby swe zastępstwo w tych sprawach na Amerykę poruczył bankom istniejącym w Ameryce.

Kongres Narodowy Polski w Washingtonie zwraca się do wszystkich Polaków, zamieszkałych w dzielnicach, wchodzących w skład dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, z zaleceniem, ażeby posiadaną ziemię, znajdującą się, jak dotąd, w rękach polskich, nie sprzedawali ludziom innej narodowości, a tem samem nie dopuszczali, by ziemia polska przechodziła w ręce obce.

Kongres Narodowy Polski w Washingtonie uznaje za konieczne, ażeby we wszystkich trzech zaborach przeprowadzoną została tego rodzaju organizacya wśród polskiego społeczeństwa, któraby przy pomocy odpowiednich instytucyj zapewniała dzisiejszy polski stan posiadania ziemi.

Kongres wyraża obawę, że dalsze gromadzenie się ludności polskiej w miastach i wielkich centrach przemysłu na wschodzie Stanów Zjednoczonych może wpłynąć na obniżenie płacy robotniczej, co przy stale wzrastającej drożyźnie w miastach utrudni ekonomiczny rozwój wychodźtwa.

W interesie nietylko ekonomicznym, ale i w interesie narodowym naszego wychodźtwa należałoby skierowanie tych Polaków, którzy już na stałe w Stanach Zjednoczonych się osiedlili, tudzież tych nowych przybyszów, którzy z zamiarem stałego zamieszkania do Stanów Zjednoczonych przybywają, do pracy rolniczej i to w tych stanach, w których już Polacy posiadają znaczną ilość ziemi na własność i gdzie z czasem przy dalszej stałej i z świadomością celu prowadzonej kolonizacyi wpływ ich musi rosnąć aż do uzyskanla upragnionego samorządu.

---

# Listy z Ameryki Północnej.

Odsłonięcie pomnika Kościuszki i Pułaskiego olbrzymią manifestacyą niezmiernie doniosłego znaczenia. — Przemówienie prezydenta Stanów Zjedn. — Telegram Roosevelta z Berlina. — List Sienkiewicza. Wielki pochód wojska amerykańskiego i polskich towarzystw. — „Kongres narodowy“ zawiódł oczekiwania inicyatorów. — Misya p. Okołowicza uwieńczona rezultatem pomyślnym.

Kongres Narodowy Polski zawiódł oczekiwania inicyatorów, ale zato uroczystość odsłonięcia pomni-

ków Kościuszki i Pułaskiego na długie lata wryła się w pamięć nietylko Polaków, ale wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych.

I koszta i wysiłki wszelakie, przez lat pięć ponoszone w przygotowaniu do tego dnia, sowicie zostały wynagrodzone. Wszystkie pisma w Stanach Zjednoczonych, ile ich tu jest, wydawane we wszystkich językach cywilizowanego świata, długie kolumny poświęciły nietylko uroczystościom, nietylko zasługom Kościuszki i Pułaskiego, nietylko pomnikom, ale i nam, Polakom amerykańskim.

Z pewnością po raz pierwszy dopiero w historyi Stanów Zjednoczonych pisano tu tyle i tak pochlebnie o Polsce i Polakach Dowiedzieli się o nas, i o tem jakie zasługi dla wolności tego kraju i jego rozwoju położyli Polacy, wszyscy obywatele tutejsi bez wyjątku i — robotnik nasz, często pogardzany i wyszydzany po fabrykach, odrazu wyżej stanął w oczach swych towarzyszy. Te głosy uwielbienia w prasie amerykańskiej, błogosławionem echem odbiły się w opinii; duchy Kościuszki i Pułaskiego przynoszą ulgę milionom rodaków swoich.

Tak to czyn dobry i szlachetny i po setkach lat jeszcze błogosławione wydaje owoce.

Tym pamiętniejszym będzie dla nas dzień 11-go maja.

Pochmurny był i zimnym deszczem mroził uczestników, ale mimoto nie potrafił zetrzeć z twarzy około 6000 Polaków, którzy do Washingtonu na tę uroczystość przybyli, wyrazu dumy i radości, nie spędził z ulic mieszkańców stolicy kraju, którzy z podziwem patrzyli na szeregi polskie, poprzedzone kolumnami wojsk regularnych w liczbie pięciu tysięcy.

Grzmiały salwy armatnie, kapele wojska amerykańskiego wygrywały nasze hejnały, naszą pieśń nadziei: »Jeszcze Polska nie zginęła«, i nasz hymn błagalny: »Boże coś Polskę«.

A prezydent Stanów Zjednoczonych William Taft, zapewnił z trybuny pod pomnikiem Pułaskiego, że naród, który takich wydaje mężów zginąć nie może — zaś prezes Związku Narodowego Polskiego M. B. Stęczyński, wołał do Polaków, że oto — duchy Kościuszki i Pułaskiego jawią się wśród 90 milionowego, najwolniejszego na świecie narodu i — wołają: że Polska nie tylko była, ale jest i będzie.

Polacy w Ameryce, przez długie lata żyć będą upojeni czarem tej chwili podniosłej — a delegaci z Polski, ze Lwowa, Krakowa, Warszawy i Poznania, nie zapomną jej do końca życia.

Kilkakrotnie płakali z radości, a my płakaliśmy z nimi.

Najwpierw odbyło się odsłonięcie pomnika Pułaskiego. Wystawił go, jak wiadomo, rząd Stanów Zjednoczonych, kosztem 50,000 dolarów, spełniając w ten sposób uchwałę kongresu z przed lat kilkudziesięciu, o której już dawno zapomniano, a o której przed siedmiu laty przypomnieli mu Polacy i dopilnowali, ażeby wykonaną została. Pomnik jest dziełem rąk polskiego artysty, Kazimierza Chodzińskiego, który od lat ośmiu mieszka w Ameryce i który jest także twórcą pomnika Kościuszki w Chicago.

Ceremonii przewodniczył minister wojny p. Dickenson, który przedewszystkiem poprosił naszego polskiego biskupa ks. Pawła Rhodego o t. z. »inwokacyę« — mowę — modlitwę, którą nasz złotousty dostojnik Kościoła zachwycił wszystkich, tak Polaków jak i Amerykanów.

Następnie przemówił p. Jan Smulski, chluba Polaków w Ameryce, mąż nieskazitelnego charakteru, były skarbnik a w przyszłości zapewne burmistrz miasta Chicago i prezes pierwszego potężnego banku polskiego w tem mieście. Po nim, jak już wspomnieliśmy, przemawiał prezydent Stanów Zjednoczonych, a w imieniu Polski i rodziny bohatera dziękował mu p. Franciszek Pułaski, jedyny żyjący potomek rodziny Kazimierza.

Trzeba dodać, że pomnik ten okazałych rozmiarów, stanął na najpiękniejszym placu przy Pennsylvania ave, jaki stolica Stanów Zjednoczonych posiadała.

Potem pochodem uroczystym, przeciągając pod trybunami, na których ulokował się prezydent i całe mnóstwo dygnitarzy państwowych, ruszono pod pomnik Kościuszki.

Stanął on na skwerze Lafayetta, tuż przy »białym domu« rezydencyi prezydenta, kosztem około 50.000 dolarów, złożonych w znacznej części przez członków Związku Narodowego Polskiego, a twórcą jest głośny w Polsce artysta p. Antoni Popiel.

Historya tego pomnika o tyle jest ciekawą, że myśl ofiarowania go przez Polaków amerykańskich Stanom Zjednoczonym zrodziła się z targu o pomnik dla Pułaskiego. Polacy pragnęli widzieć Pułaskiego na koniu, a rząd oświadczył, że ze względów artystycznej symetryi taki pomnik na skwerze Lafayetta wzniesionym być nie może i że chyba inne wyznaczy mu miejsce.

Polakom żal było honorowego placu na skwerze Lafayetta, gdzie wznoszą się pomniki innych »cudzoziemców« którzy w walce o wolność Ameryki walczyli i — skwapliwie skorzystali z oferty, by Pułaskiemu inne przeznaczyć miejsce, a — tu zadeklarowali wła-

snym kosztem postawić pomnik Kościuszce. Rząd deklaracyę przyjął i — po pięciu latach, byliśmy świadkami niebywałej w stolicy Stanów Zjednoczonych uroczystości odsłonięcia odrazu aż dwóch wspaniałych pomników i to tak drogich dla każdego serca polskiego.

W imieniu ludu polskiego, mowę deklaracyjną wygłosił tu p. Antoni Schreiber, cenzor Z. N. P., a w imieniu rządu dziękował minister wojny.

Pomniki udekorowano bogato wieńcami z kwiatów, składanymi przez najrozmaitsze osoby, towarzystwa i organizacye. Ogólną uwagę zwracały dwa wielkie, srebrne wieńce ze Lwowa. Przechowane one będą na wieczną rzeczy pamiątkę w muzeum narodowem w Washingtonie.

Wieczorem odbył się w hotelu Raleigh wspaniały bankiet, w którym udział wzięło około 300 osób, w tej liczbie wielu dygnitarzy rządowych (prezydent zaziębił się i nie przybył) wszyscy goście z Polski, i reprezentacye polskich organizacyj i towarzystw z biskupem Pawłem Rhode na czele.

Prawdziwy entuzyazm wywołał telegram otrzymany od Roosevelta, a nadany w Berlinie, w chwili kiedy były prezydent naszej rzeczypospolitej był gościem cesarza Wilhelma.

Telegram ten brzmi:

»Przyjmijcie moje powinszowanie dla wszystkich amerykanów polskiego pochodzenia z powodu dedykacyi pomników dwóch polskich bohaterów Kościuszki i Pułaskiego, których nazwiska nazawsze pozostaną na honorowem miejscu historyi Ameryki«.

Równie entuzyastycznie przyjęto list od Henryka Sienkiewicza, w sposób niezmiernie subtelny przedstawiający tak misyę polityczną Polaka w Ameryce, jak i znaczenie chwili; mówiąc o Kościuszce i Pułaskim, powiada Sienkiewicz:

»Walczyli oni za wolność Stanów Zjednoczonych, przez co zapewnili Polakom prawo moralne do tej ziemi i umiłowawszy ten kraj swobody, a zarazem przechowując wielką i niewygasłą miłość do Polski, zostawili wam przykład, jak pogodzić i połączyć z sobą te uczucia. Że zachowujecie święcie ową tradycyę, dowodem ten świetny obchód i to zebranie, na które podążyliście ze wszystkich stron Ameryki. Bierzecie bowiem w nich udział, jako Polacy, jako synowie tej starej Ojczyzny — Matki, o której pamięć goreje nakształt Znicza w Waszych sercach, ale jednocześnie jako wdzięczni i lojalni obywatele Stanów Zjednoczonych gotowi oddać życie za ten potężny kraj, który daje Wam wolność, chleb i który przyjmuje Was nie jako gości, nie jako obcych przybyszów, ale jako rodzone dzieci. Jestto jakby węzeł na dwoje w Waszych sercach zawiązany. Jesteście cząstką siły Stanów Zjednoczonych, a nie przestajecie być siłą polską. Jesteście przedstawicielami Metropolii w najwolniejszym na świecie kraju, a korzystając z wielkich jego instytucyi w prawy, szlachetny i legalny sposób składacie tem samem świadectwo, że Polak dojrzał do wolności, że potrafi z niej korzystać i że przywrócenie jej polskiemu narodowi leży w interesie ludzkości«.

Dodać należy, że list ten w języku angielskim powtórzyło kilkaset pism tutejszych, a były też i takie, które podały go także, w polskiej odbitce.

Na bankiecie mieli też po raz pierwszy sposobność przemawiania także goście z Polski. Nie potrzeba chyba dodawać, z jakiem rozrzewnieniem ich słuchano, tembardziej, że dla większości z nich wszystko co widzieli było prawdziwą niespodzianką. Nie spodziewali się, że u nas serca dla sprawy polskiej takie gorące, że u nas tyle ludzi inteligentnych i na wszystkich już stanowiskach, że wreszcie Amerykanie z takim dla narodu polskiego wystąpią szacunkiem.

Rozrzewniło ich to, a z kolei oni nas rozrzewniali wylewem swego uczucia.

* * *

Na drugi dzień rozpoczął obrady »Kongres Narodowy« — ale jak zaznaczyłem na wstępie — zawiódł oczekiwania.

Już sam fakt, że od udziału cofnął się obóz Związkowi Narodowemu przeciwny i że przeprowadzili go tylko i wyłącznie kierownicy Związku, wprawdzie przy współudziale gości z Polski, obniżył zarówno znaczenie jego powszechności jak i moc praktyczną powziętych na nim uchwał i rezolucyj

Obradowało dwustu przeszło delegatów i reprezentantów przez dni trzy. Materyału zgromadziło się tyle, że aby rozpatrzyć go należycie, zamało byłoby dni trzydziestu... Polska nadesłała przeszło 400 referatów... Pierwotnie miano zamiar obradować dni cztery, widząc atoli, że rezultat będzie ten sam, skrócono termin o jeden dzień, tembardziej, że już drugiego dnia połowa delegatów była w drodze powrotnej do domu, zmuszona do tego.. interesami.

W drugim dniu, podzielono się na trzy sekcye. Polityczna, której przypadło w udziale z górą 200 referatów z Polski, odczytała z nich trzy, resztę poleciła złożyć w ręce specyalnego Komitetu i zarekomendowała pełnej izbie kongresowej przyjęcie następującej rezolucyi:

»Polacy mają prawo do niezawisłej politycznej egzystencyi swego kraju i uznają za swój obowiązek starać się o niepodległość Polski«.

Postulat dla Polaków w Ameryce zupełnie nie nowy. Wypisany on jest na miejscu naczelnem w Konstytucyach wszystkich towarzystw i organizacyj tutejszych.

Sekcya naukowo-oświatowa, mówiła dużo o szkol-

nictwie, ale wobec faktu, że rzeczywiści kierownicy naszych 700 szkół parafialnych i wyższych, księża polscy, udziału nie brali, przyjęte uchwały i rezolucye żadnego praktycznego znaczenia nie mają.

Jedynie sekcya emigracyjna, w której czynny i nader ruchliwy udział brał reprezentant Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, p. J. Okołowicz, przedłożyła rezolucye, które niewątpliwie poparte zostaną przez cały ogół, tembardziej, że już po kongresie p. Okołowicz zwrócił się z osobnym komunikatem do całej prasy tutejszej z prośbą o ogłoszenie i poparcie.

*Stanisław Osada.*

---

# List ze Szwajcaryi.

Zurych, 17. V. 1910.

W ostatnich latach zaczęto robotników rolnych z Królestwa wywozić do Szwajcaryi. Dotąd przyjeżdżali jednak w nieznacznej liczbie i głównie pod Fryburg i Bern. Dopiero w tym roku pojawiło się ich więcej, czy to pod wpływem zwiększenia się ruchu wychodźczego, czy może dlatego, że Szwajcarzy poznawszy zalety naszego robotnika jako nadzwyczaj pracowitego i spokojnego pracownika, jęli sprowadzać ich w większej liczbie.

Oczywiście, że przystosowanie się do nowych warunków przedstawia zawsze dla obu stron pewne trudności — nic więc dziwnego, że dają się słyszeć utyskiwania i skargi na pracodawców Szwajcarów, którzy wobec naszych robotników niezawsze lojalnie postępują; często wszakże powodem zrywania umowy jest niemożność porozumienia się w obcym języku.

Do Szwajcaryi wywozi z Królestwa robotników rolnych niejaki Hans Martiz Kallnach z pod Berna. Wychodźców werbuje mu karczmarz ze wsi Bożanowice pod Pruskiemi Herbami — Dudek. Ostatni dla zachęty rozpowiada o Szwajcaryi niestworzone rzeczy. Mówi, naprzykład, że tu nie będzie nikt wody pił, tylko wino; rozpowiada o nadzwyczajnych zarobkach, taniości i t. d. Do niego przychodzą robotnicy po przejściu przez granicę; trzyma ich on u siebie w stodole tak długo, aż zbierze się obstalowana ilość i tą zdaje bezpośrednio Hansowi Marti. Marti liczy się z tem, że robotników wywozi do kulturalnego kraju, więc wszystkie sprawy załatwia jaknajformalniej. Wszystkim daje do podpisania kontrakt. Kontrakt jest tak ułożony, że robotników krępuje zupełnie, pracodawcy zaś nie obowiązuje do niczego. Prawdopodobnie niewielu znalazłoby się chętnych do podpisania tego rodzaju umowy, więc kontraktu Marti nie tłumaczy na polski. Dudek zaś opowiada o nim, co mu fantazja i chęć otrzymania obfitej prowizyi podyktuje.

W obecnej chwili posiadam takich kontraktów dwa, całkowicie wypełnionych. Jeden zbiorowy, zawarty między całą grupą robotników i fabrykantem (właścicielem elektrycznej cegielni) Moserem, drugi dla pojedynczej osoby.

W pierwszym płacę dla parobka ustanowiono w wysokości 2 fr. (= 1 k. 90 hal.), dla dorosłego 2 fr. 50 c. (= 2 k. 35 hal.) Prócz tego na osobę 25 funtów kartofli albo ryżu albo makaronu tygodniowo i litr mleka dziennie. Pracodawca ma prawo odtrącać przez pierwsze 10 tygodni po 5 franków tygodniowo, niby dla zapewnienia powrotu, a właściwie by mieć kaucyę, którą, czy to gdy wydali robotnika, czy to gdy ten sam odejdzie, będzie mógł zatrzymać. W drugim kontrakcie zapłata ma być 20—40 fr. (od 19—38 kor.)

miesięcznie z tem samem prawem odciągnięcia 50 ciu fr. w przeciągu 10 tygodni. 40 ci fr. jest naturalnie tylko przynętą, nie obowiązuje ona pracodawcy do niczego.

Przy tej umowie po odtrąceniu opłat na kasę chorych i na kasę ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków i zapłaty za dnie, w których fabrykant do pracy nie brał z powodu złej pogody, robotnikowi mającemu pobierać dziennie 2 fr. 50 c. wypłacono w pierwszych dwu tygodniach 12 fr. (= 11 kor. 45 hal.) w następnych dwu 15 fr. 60 cent. (14 k. 75 hal.); parobek płatny 2 fr. dziennie dostał w pierwszych dwu tygodniach 8 fr. 60 c. (= 8 k. 20 hal,), w następnych 6 fr. 50 cent. (= 6 k. 20 hal.) Weźmy pod uwagę drożyznę szwajcarską — funt mięsa kosztuje około franka, funt chleba 22 cent., dostaniemy przerażająco mały zarobek. Wydatek na sam chleb stanowi 4 fr. 10 c. na dwa tygodnie. Gdyby więc robotnik tylko chleb do otrzymywanych kartofli i mleka dokupywał, pozostanie, płatnemu po 2 fr. 50 cent. dziennie, po dwu tygodniowej pracy około 7 fr. 90 c. płatnemu po 2 fr. — 4 fr. 50 c. (= 4 k. 25 c.) Takie kontrakty krępują robotnika zupełnie, czynią zeń niewolnika, który musi być powolnym pracodawcy pod grozą utraty kaucyi, wyrzucenia bez żadnego powodu ze służby i t d.

Mało jednak tego § 6 umowy oddaje robotnika całkowicie na pastwę agenta. Ma on prawo postanawiać o powrocie bez wszelkich wymawiań, tj. wysyłać według swego kaprysu z powrotem nieprzypadających mu do gustu robotników.

Dodajmy, że robotnik nasz zgoła nic lub nadzwyczaj mało po niemiecku rozumie, o czytaniu i mowy niema, że zazwyczaj przyjeżdża bez paszportu zagranicznego, czyli że zawsze może być wydalony ze Szwajcaryi jako włóczęga, będziemy mieli całkowicie pojęcie o niedoli robotników sezonowych w Szwajcaryi.

Nadto pracodawcy nawet kontraktów Hansa

Marti ani myślą dotrzymywać. Z całą bezczelnością zmniejszają zakontraktowaną płacę, zmnieniają ilość i jakość produktów, które powinni wydawać w naturze, a nawet posuwają się do bicia. Radykalnie zwykle zmieniają stosunek do robotników po odciągnięciu całej kaucyi. Liczą na to, że robotnik choćby najgorzej traktowany nie odejdzie, by nie stracić krwawo zapracowanych 50ciu franków.

By dać możność obrony robotnikom sezonowym i zająć się ich kulturalnemi potrzebami, powstało przy Towarzystwie Postępowej Młodzieży Polskiej w Zurychu autonomiczne Kółko Pomocy dla emigrantów sezonowych polskich. Cele swoje określiło tak: pomoc kulturalna i ekonomiczna. Pomoc kulturalna ma się zasadzać na nauce czytania i pisania po polsku i po niemiecku i na uświadomieniu klasowem; pomoc ekonomiczna — na pośredniczeniu we wszelkiego rodzaju zatargach czy to wprost, czy za pośrednictwem miejscowych instytucyj robotniczych. Do kółka należy 30 robotników i studentów. Tymczasem Kółko krząta się dość energicznie. Porozumiało się ono z Arbeiterunion i Arbeitersekretariat'em w Zurychu i Winterthurze, z Bauernsekretariat'em w Bruggu, ogłosiło o robotnikach poszukujących pracy, wynalazło pracę robotnicy, oddało sprawę 7miu robotników w Uster do dochodzeń sądowych Arbeitersekretariat'owi, w Winterthurze. Zaczęło też już kulturalną pracę.

Robotnik rolny, jeżeli odtrącimy koszty podróży i zwiększone wydatki z powodu drożyzny i t. d. bynajmniej więcej w Szwajcaryi zarobić nie może jak u nas. Dziwnem wobec tego się wydaje, że jednak jest tylu chętnych, by jechać do nieznanego kraju na niepewny los, tem dziwniejsze, że w tych okolicach skąd tu są robotnicy z którymi się spotkałem (z Radomskiego) jednocześnie dotkliwie daje się odczuwać brak rąk do pracy.

Właściciele ziemscy w Królestwie narzekają na brak robotników, przeklinają emigrację, a robotnik ten sam, co w kraju jest niby tak potrzebny, emigruje jednak na nędzę i poniewierkę. Dziwne to, a jednak tak zrozumiałe. Nasze głodowe płace, tendencya do coraz większych zniżek płacy, szczególnie od 1906 roku, zmuszają z żelazną koniecznością robotników do szukania lepszej doli. Choć na niepewne, choć do nieznanych krajów i z nieznanymi ludzmi, idą jednak, by uciec przed głodem.

Właściciele ziemscy powinni zrozumieć, że nic nie pomogą utyskiwania, że jeżeli rzeczywiście brak im robotników i jeżeli chcą ich mieć, to muszą płace podnieść do takiego poziomu, by robotnik nie marł głodem i mógł zaspokoić choć pierwsze potrzeby kulturalne.

*T. Kaszubski*

---

# List z Brazylii

Ijuhy, 3 maja 1910.

Zamieszczone w P. P. E. dwa głosy p. Jana Hempla z Paryża w 23 num. r. z. i p. Stan Osady z Chicago w 2 num. r. b., jako pochodzące z zewnątrz a omawiające nasze stosunki w Brazylii, zmuszają mię do ujęcia za pióro i wyjawienia swych zapatrywań w poruszonej przez nich materyi z tutejszego punktu widzenia.

Projekt utworzenia Syndykatu w Paranie — poruszony przez p. Hempla, znawcy tutejszych stosunków — może być bardzo dobry, lecz utworzenie jego w gruncie rzeczy nie byłoby łatwe a po drugie nie możemy go uznać jako jedyną dla nas odpowiednią organizacyę.

Coprawda dotychczasowe szlachetne usiłowa-

nia dzielnych jednostek, dążące do utworzenia jakiejś łączni pomiędzy rozprószonymi rodakami, do zorganizowania żywiołu polskiego pod jakimkolwiek żywotnie nas obchodzącem hasłem, jak oświata, szkoła, rolnictwo, spełzły na niczem, — lecz i dziś nie brak nam nowych projektów i usiłowań do zcentralizowania naszej Polonii i przyjść do tego z czasem musi, gdyż nie brak nam ludzi narodowo uświadomionych, którzy choć nieliczni ale uczuwają potrzebę organizacyi i nad doprowadzeniem jej do skutku pracować nie przestają.

Słusznie wspomniał p. Osada, że w organizowaniu się naszem powinniśmy brać przykład z Polaków północno-amerykańskich, — a przedewszystkiem brać nam przykład należy ze Z. N. P., największej organizacyi polskiej na obczyźnie oraz z jej długoletnich doświadczeń.

Pan Hempel powiada w swoim artykule, że Zw. Nar. w Stanach Zjedn. Półn. Amer. nie ma realnego programu społecznego działania przed sobą i w tamtejszych warunkach mieć go nie może, co czyni go zawieszonym w powietrzu i bez głębszych wpływów. — Że Zw. Nar. Pol. nie może w tamtejszych warunkach być innym, że nie może przedstawiać jakiejś klasy, któraby miała stanowczy wpływ w gospodarce lub polityce Stanów, to nie jego wina ani jego członków, jest więc takim, jakim być może, a jako taki pracuje i działa dla polskości od lat wielu i pracę tą każdy uznać musi, — utworzone zaś w jego łonie komisye, jak: oświaty, rolnictwa i in. mają wielką przyszłość przed sobą.

Tu w Brazylii naturalnie stosunki są inne. Każdy prawie emigrant polski to rolnik — kolonista; czy jednak ten rolnik polski będzie miał stanowczą przewagę w Syndykacie rolniczym i czy ten Syndykat uczyni zadość wszystkim jego wymaganiom — to bar-

dzo wątpliwe. Bo jeżeli Syndykat ma być jedyną dla nas odpowiednią organizacyą — a w gruncie rzeczy niepolską, bo mamy rolników i innej narodowości, — to w takim razie kto zajmie się naszą oświatą, naszemi szkołami, narodowymi obchodami etc., jeżeli »Syndykatowi nie wolnoby się było zajmować innemi sprawami oprócz ściśle dotyczących rolnictwa«?.

Aby sprawę tą lepiej zrozumieć, przypatrzmy się niepolskim syndykatom i tow. rolniczym, jakie w Brazylii już istnieją, przedewszystkiem w Stanach, gdzie żyje ludność polska.

Od r. 1897 istnieje w Rio de Janeiro Narodowe Tow. Rolnicze (Sociedade Nacional de Agricultura), które urządza wystawy, wydaje miesięcznik »A Lavoura« i koncentruje w sobie wszystkie tow. rolnicze w Brazylii. Pod patronatem tego tow. zawiązał się w r. 1903 Centralny Syndykat Rolniczy w Brazylii, który ułatwia członkom sprowadzanie narzędzi i maszyn, stosownie do praw rządowych, zapewniających różne ulgi i dogodności syndykatom.

W roku 1905 i 6 wysłano z Rio emisaryusza na południe Republiki, a ten założył różne syndykaty rolnicze w S. Catharina i Rio Gr. do Sul. — Istniejące w Porto Alegre od r. 1904. »Centro Economico« zamieniło się w r. 1906 na Unię Syndykatów roln. w Stanie, do której to unii należy około 100 towarzystw rolniczych. Największe tutejsze niemieckie tow. »Bauerverein« postanowiło również na ostatnim swym zjeździe przystąpić do syndykatu roln., zamieniając swe koła na filie tegoż syndykatu. Charakterystycznem w tem jest to, że filie te zachowały swoją dawną nazwę i swój dawny charakter niemiecki, dbając o swe szkoły, urządzając niemieckie obchody etc. »Bauerverein« został więc dawnem niemieckiem tow. z niemieckimi członkami, a przystąpił do syndykatu po to, aby członkowie korzystali z licznych

udogodnień i pomocy, jakich rząd syndykatom i ich członkom udziela. Pomimo że większość tutejszych kolonistów jest niemiecka, nie wywarli oni na syndykacie żadnego wpływu, jak również nie wywrą go nieliczni tutejsi Polacy.

Ale przejdźmy do Parany, gdyż ta najwięcej nas interesuje. Z towarzystw rolniczych pierwsze miejsce w Paranie zajmuje kurytybskie »Sociedade de Agricultura do Parana,« założone przez Brazylian i innonarodowców w r. 1890. Urządza ono wystawy, udziela różnych rolniczych i przemysłowych instrukcyj i — jak czytamy w sprawozdaniu tego tow. – tłumaczy je na język włoski i polski, rozdaje różne nasiona i rośliny etc.

Choćbyśmy w Paranie mogli utworzyć Syndykat małorolnych, to, aby on mógł liczyć na pomoc rządu, musi należeć do Unii syndykatów, gdzie większość tworzyć będą więksi brazylijscy właściciele stepów, zajmujący się chowem bydła (gdyż do syndykatów należą tow. »agricola pastoril« i »industrial«), a prócz tego musi być dostępny dla innych narodowości, — tu zaś pamiętać trzeba, że w Paranie małorolnych innych narodowości, a więc Brazylian, Włochów, Niemców i inn. razem może być więcej niż Polaków. Jakbyśmy chcieli widzieć każdego Polaka w syndykacie, tak samo może chcieć być w nim według prawa każdy innonarodowiec, a kto wie, czy nie wytworzyliby oni większości wobec ospałości znacznej części naszego ludu. Bo jeżeli dziś nie można nakłonić Polaka, aby należał do tow. polskiego lub posłał syna bezpłatnie (co próbowałem) do szkoły, powiadając, że nauka niepotrzebna i syn potrzebny mu do pracy na kolonii, to zgóry można twierdzić, że takiego do syndykatu nikt nie nakłoni.

Nam trzeba stworzyć organizacyę czysto narodową, łączącą nie tylko Polaków w Paranie, lecz i w S. Pauló, Rio Grande, S. Catharinie i Argentynie.

Wzorować nam się trzeba na organizacyi Z. N. P. i spodziewamy się że »Związek« nie odmówi nam swego poparcia w udzielaniu rad i wskazówek ze swego własnego doświadczenia.

Utworzona w organizacyi komisya oświaty dbać będzie o szkoły, a komisya rolnicza starać się będzie stosownie do okoliczności korzystać z Syndykatu, jak to widzimy u Niemców w Rio Grande, nie potrzebując wyrzekać się przytem pracy narodowej!

*Adam T. Zgraya.*

---

# ROZMAITOŚCI.

**Redaktor »Przeglądu Emigracyjnego«** i dyrektor P. T. E. p. J. Okołowicz w dniu 11-go b. m. powrócił z podróży swej do Krakowa i objął urzędowanie. Podczas pobytu jego w Ameryce cały ciężar redagowania »Przeglądu Emigracyjnego« i »Biuletynu P. T. E.« spoczywał wyłącznie na p. Helenie Okołowiczowej, która pomimo ciężkiej choroby, jaka przez kilka tygodni przykuwała ją do łóżka, wytrwała na zajętym posterunku, dokładając gorliwie starań, by wydawnictwa te nie doznały przerwy.

**Wychodźtwo włoskie.** Po pewnym zastoju w wychodztwie włoskiem, będącym wynikiem przesilenia gospodarczego z roku 1907 w obu częściach Ameryki, widzimy w roku 1909 znaczny wzrost tego ruchu we Włoszech, który poprzedziło zmniejszenie się w roku 1908 liczby powracających z Ameryki Włochów. Pierwsze ćwierćrocze 1910 wykazuje znowu do pewnego stopnia cofanie się wychodźtwa włoskiego, a to pozostaje w ścisłym związku z niepewną jeszcze sytuacyą gospodarczą w Stanach Zjednoczonych, owej najważniejszej dziedziny dla wychodźtwa europejskiego, której stosunki zdradzają jeszcze nieraz tendencye powrotu do dopiero co minionych czasów krytycznych. Wychodźtwo, które w pierwszym kwartale 1909 roku obejmowało 107.939 osób, spadło w pierwszych trzech

miesiącach 1910 roku do 83.478 osób, a z tego osób jadących do Stanów Zjednoczonych z 94.792 na 68.680 osób. Jednocześnie wzmógł się powrót do Włoch z 19.205 na 21.575 osób, a z tego wzrosła liczba osób powracających ze Stanów Zjednoczonych z 7719 do 9997 osób.

**Robotnicy polscy w Niemczech.** Jak donoszą z Dortmundu, niesumienni spekulanci ściągnęli tam bardzo wielu robotników polskich mimo, że osiadłym tu robotnikom daje się bardzo odczuwać brak pracy. Agitowali oni wśród polskich robotników, obiecując pracę w jakichś książęcych kopalniach. Robotnicy pozostali w wielkiej nędzy i masami przenoszą się do Francyi na robotę.

**Petersburskie Towarzystwo Emigracyjne dla Żydów** »Ika« zdało sprawę z działalności swej za rok 1909, z którego wynika, że emigracya stała się najwyraźniejszą kwestyą społeczno-ekonomicznego bytu żydów w Rosyi. Od roku 1908 wzrosła liczba biur informacyjnych tego towarzystwa z 360 ciu do 433! Przedstawiciele tych biur zbierali się często na wspólne obrady w sprawach wychodźtwa. Towarzystwo wydaje pismo żargonowe p.t. »Emigrant żydowski« z którego wychodźca dowiedzieć się może o warunkach podróży, przepisach odnośnych krajów dotyczących wychodźtwa, o stosunkach zarobkowych i t. d. Towarzystwo udziela także pomocy lekarskiej, skierowanej przedewszystkiem ku zwalczaniu chorób ocznych, zwłaszcza trachomy, będącej tak ważną przeszkodą w emigrowaniu. Pomoc prawna dotyczy głównie ułatwienia przy formalnościach paszportowych. W wypadkach nadzwyczajnych udziela komitet centralny towarzystwa także drobnych pożyczek a mianowicie tym emigrantom, którzy już mieli karty okrętowe ale nie mieli jeszcze paszportów na wyjazd. W roku 1909 udzielono 115 takich pożyczek, w kwocie 1806 rubli. — Z roku na rok rośnie liczba osób zwracających się do towarzystwa po informacye. Z 16000 w roku 1908 doszła liczba ich w roku 1909 do 33000 osób. Jako przyczynę wychodźtwa podaje większość (65%) ciężkie warunki ekonomiczne, a część (20--30%) stosunki rodzinne. Znaczna część wychodźców wyruszyła do Ameryki przez Libawę

około 22000 osób, gdy w roku 1907 wyszło ich tą drogą tylko 12000. Naogół wychodztwo w Rosyi wzmogło się znacznie w 1909 r a mianowicie z 45000 w roku 1908 na 61000 osób.

**Dom emigracyjny.** Mr. Winston Churchill, minister spraw wewnętrznych ogłosił, że rząd angielski postanowił urządzić w porcie Londynu przytułek dla emigrantów, ktorych prawa dopuszczenia do kraju muszą być dopiero zbadane. Nabiera to ogromnej wagi dla tych wychodźców, którzy podczas pobytu w tym domu wykazać będą mogli swą zdolność zarobkowania albo złożyć dowody swej użyteczności, co dotychczas było niemożliwe wobec zbyt krótkiego czasu, jaki im dawano w tym celu. Można się spodziewać, że dzięki temu zmniejszy się liczba tych, ktorych do kraju nie wpuszczano.

**Emigracya do Nowego Yorku w miesiącu marcu 1910.** W miesiącu tym wzmogła się ogromnie emigracya do Nowego Yorku. W Ellis Island wylądowało 102286 wychodźców. Według krajów rozdzielają się ci wychodźcy jak następuje:

| | |
|---|---|
| z Włoch | 29.468 |
| z Austryi | 19.488 |
| z Węgier | 17.712 |
| z Rosyi | 17.900 |

Z wychodźców tych 19.245 było już raz przedtem w Stanach Zjednoczonych.

**Drożyzna w Ameryce** Sekretarz departamentu rolnictwa w Waszyngtonie J. Wilson znalazł oryginalny sposób zwalczania drożyzny mięsa: ułożył książkę kucharską, dającą doskonałe przepisy przyrządzania tańszych gatunków mięsa. Książka wydana została na koszt rządu i rozdaje się bezpłatnie. Autor jest zdania. że mięso dlatego jest tam takie drogie, że gospodynie amerykańskie znają tylko byfsztyki i nie umieją przyrządzać mięsa w inny sposób. A ceny mięsa podnoszą się w Ameryce stale; w Chicago przyszło nawet do zaburzeń przed jatkami gdzie ludność domagała się zniżenia ceny mięsa; niektórzy rzeźnicy pozamykali sklepy. Według obliczeń urzędników departamentu rolnictwa, zarabiają rzeźnicy w Chicago w handlu detalicznym do $47^{1}/_{2}\%$.

Sąd wyższy w stanie Illinois rozstrzygnął znowu

w sprawie drożyzny chleba, że zarządom miejskim przysługiwać ma prawo wydawania przepisów co do wielkości i wagi sprzedawanego pieczywa, a także nakładania obowiązku na piekarzy, by dawali kupującym możność sprawdzania wagi sprzedanego pieczywa.

**Kanał w Kanadzie.** Jak donosi nowojorska Gazeta Handlowa, powstał projekt wybudowania Kanału, któryby połączył północno-wschodnią część kraju z brzegiem Atlantyku, by tem samem dostarczyć tanich środków komunikacyjnych krainie powołanej do tego, by stać się śpichlerzem całego świata. Koszta budowy kanału obliczają na 100 do 150 milionów dolarów. Złożono już podobno 50 mil. dolarów w banku w Anglii. Według obliczenia sir Roberta Perkinsa, który stoi na czele tego przedsięwzięcia, budowa wymagać będzie 10 lat pracy i ma zatrudnić 20000 robotników. Rząd kanadyjski objąć ma gwarancyę za wydawać się mające akcye.

**Jubileusz Polaka w Szwajcaryi.** X. Władysław Heyducki, kapelan klasztoru Dominikanek w Weeson, o kilka kilometrów od Raperswylu, obchodził tymi dniami jubileusz 50-letni kapłaństwa. X. Heyducki, rodem z Poznańskiego, był nauczycielem w seminaryum warszawskiem, następnie wydalony w epoce przedpowstaniowej spotkał się z tym samym losem i w Prusiech. Po krótkim pobycie w Monachium został przeznaczony na kapelana klasztornego i spędził 43 lat na tem stanowisku. Obecnych na jubileuszu Polaków wzruszyły przemowy Szwajcarów, tchnące sympatyą do Polski, wszczepioną przez X. Heyduckiego, za którego wpływem n. p. X. Kunze, proboszcz w Herisau, napisał dwie sztuki dla młodzieży szkolnej, osnute na dziejach Polski. Utwory te, podniosłej treści, są wykonywane przez uczniów i śpiewy narodowe, przeplatające sztukę, wykonywane przez niemieckich Szwajcarów po polsku. Przemawiał między innymi proboszcz raperswylski X. Braendli, wzruszając obecnych do łez uczuciem, z jakiem mówił o Polsce. Obchód zakończyło przyjęcie dla gości, między którymi znaleźli się także i przybyli Polacy, w ich liczbie p. W. Karczewski (Jasieńczyk).

**Wychodźtwo do Argentyny.** W roku 1909 przybyło do Argentyny 231.084 osób tj. o 21.452 mniej

aniżeli w roku poprzednim. Większość przybyszów stanowią jak zawsze Włosi (83.528) i Hiszpanie (86.798). Wychodźtwo z Austryi znacznie się wzmogło, natomiast zmniejszyła się liczba wychodźców z Węgier. Przybyło.

| w roku | z Austryi | z Węgier | Razem |
|---|---|---|---|
| 1905 | 2793 | 2553 | 5316 |
| 1906 | 4277 | 1843 | 6130 |
| 1907 | 34 3 | 1230 | 4659 |
| 1908 | 2651 | 934 | 3485 |
| 1909 | 3853 | 649 | 4502 |

Według informacyj, udzielonych przez argentyński konsulat jeneralny w Wiedniu, wynosi nadwyżka nowych przybyszów nad opuszczającymi Argentynę w 1909 roku 136.440 osób; ludność rzeczypospolitej argentyńskiej oceniają teraz na 6·8 milionów mieszkańców. Przybyszów z r. 1909 w liczbie 90.537 rozmieszczono według rozporządzeń ustaw ochronnych o imigracyi na 1009 placówek w kraju; z tego przypada na prowincyę Mendoxę — znaną głównie z uprawy winnic — 36 osad z 9618 osadnikami, na Santa Fe 24.010, na prowincyę Buenos Aires 31.689 osób, na Kanadę 9610. Pod względem pochodzenia imigrantów (bez odejmowania liczby opuszczających Argentynę) przypada na Włochy 93528 ludzi, na Hiszpanię 86.798, Rosyę 16.475, Syryę 11765, Francyę 4120, Austryę 3803, Węgry 649, Wielkobrytanię 2006 Japonię 241. Wśród tych 231 084 emigrantow było 59.382 rolników, 42.794 wyrobników dziennych, 11.634 służących oraz wątpliwie wysoka liczba 10.635 pomocników handlowych, reszta przypada na rozmaite inne zawody. W wieku ponad lat 40 było tylko 30.777; pod względem wyznania było 204.464 katolików, 8.865 żydów i 17.755 przynależnych do innych wyznań.

**Emigracja żydowska**. Podług danych statystycznych, oficjalnie co rok ogłaszanych, emigruje z państwa rosyjskiego do Ameryki około 60,000 Żydów rocznie. Słusznie też zaznacza oficjalny organ sjonistów, że liczba 10,986 Żydów, którzy wyjechali w przeciągu 5 lat ubiegłych do Palestyny, jest niezmiernie nikła. Dla społeczeństwa polskiego ważniejszy wszakże jest fakt, że główna fala emigracji Żydów odpływa bynajmniej nie z Królestwa Polskiego, gdyż na wspomnia-

ną cyfrę 60,000 Żydów, z Królestwa Polskiego np. w r. 1908 wypada zaledwie 8,000, co jest bardzo małą cyfrą wobec dziesiątków tysięcy włościan polskich, co rok emigrujących i wobec napływu ciągłego do nas »litwaków« z Rosji. Do Palestyny wyemigrowało podług wykazów wspomnianego wyżej organu sjonistów 10,986 Żydów, z liczby tej jednak wypada na Królestwo Polskie zaledwie 1,851.

**Nędza emigrantów.** Zamieszkali w Honolulu emigranci z Królestwa i Litwy, w liczbie 400 przesłali na ręce konsula rosyjskiego w Waszyngtonie prośbę, aby dopomógł im do powrotu do kraju rodzinnego. Emigranci skarżą się, że sprowadzeni zostali przez agentów-oszustów, którzy chcieli przerobić ich na niewolników w plantacyach cukrowych.

Honolulu jest to stołeczne miasto wysp. Sandwickich, między Azyą a Australią, leżących na oceanie Spokojnym. Mieszkańcy należą do rasy indyjskiej i mają skórę czerwono-miedzianą. Przyjęli oni chrześcijaństwo i cywilizacyę z Europy, a pozostają pod rządami swego dziedzicznego króla. Szkoły mają dobre i prowadzą wielki handel z Ameryką. Klimat tam gorący, ziemia nadzwyczaj urodzajna.

**Ze stosunków robotniczych w Ameryce Północnej.** Wychodzący w Buffalo »Polak w Ameryce« donosi: Konsul austryacko węg. Ernest Ludwig, oblicza, że co miesiąc 300 do 500 robotników austrjacko-węgierskich traci życie w fabrykach w stanie Ohio. Liczby te są wprost zastraszające, ale konsul twierdzi, że ma dowody niezbite na potwierdzenie tego, co opisuje. W opisie stosunków, panujących w fabrykach, konsul zaznacza, że życie prostego robotnika jest nadzwyczaj tanie; na miejsce zabitego robotnika staje pięciu. W pewnej fabryce, zatrudniającej 600 robotników, w przeciągu lat 9-u zginęło 1,200. Pozostała po zabitym robotniku rodzina zwykle zostaje bez wszelkich środków do życia i wpada w straszną nędzę, ponieważ za życia ojciec rodziny ledwie na wyżywienie zarobił, a fabrykanci w rzadkich tylko wypadkach dają sierotom jakąkolwiek zapomogę. W pewnej fabryce ginie przeciętnie jeden robotnik dziennie, w innem miejscu pokazywano konsulowi maszynę, która zabiła trzech robotników. Konsul zebrał całą masę

niezbitych faktów o braku wszelkich środków ochronnych w fabrykach amerykańskich i wszystkie te dowody złoży rządowi federalnemu, z prośbą o otoczenie robotników lepszą opieką, a w razie ich śmierci zaopiekowanie się ich rodzinami.

**Teatr polski w Chicago.** »Dziennik Chicagoski« donosi: Za staraniem pewnych osób, którym stworzenie stałego teatru polskiego w Chicago bardzo na sercu leży, uzyskano możliwie najdogodniejsze warunki dla przedstawień w znanym Polonji naszej teatrze »Crown« przy ul. »W. Division«. Kierownictwo artystyczne i administracyjne oddano w ręce p. Henryka Orwida, który wkrótce po zawarciu kontraktu wziął się do zorganizowania trupy, ułożenia repertuaru na cały przeciąg wynajmu teatru i dokonania wszelkich przedwstępnych czynności, koniecznych do zapewnienia egzystencji tak pożądanemu przedsiębiorstwu.

Przedstawienia odbywać się będą przez przeciąg siedmiu tygodni, a to od 19 czerwca do 6 sierpnia. W niedzielę popołudniu i wieczór, oraz w środy i soboty wieczór dawane będą przedstawienia sztuk większych. za wstępem od 25 do 50 c., zaś w poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki dwa razy każdego dnia przedstawienia wodewilowe z programem urozmaiconym i jednoaktowemi sztukami, występami solowemi, ruchomemi obrazami i t. p. za wstępem po 10 c. Na pierwsze przedstawienie wybrano »Kościuszkę pod Racławicami«.

---

TREŚĆ:



---

Drukarnia „Prawdy", Kraków, Stolarska 6, pod zarządem Józefa Jondry.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca Józef Okołowicz.